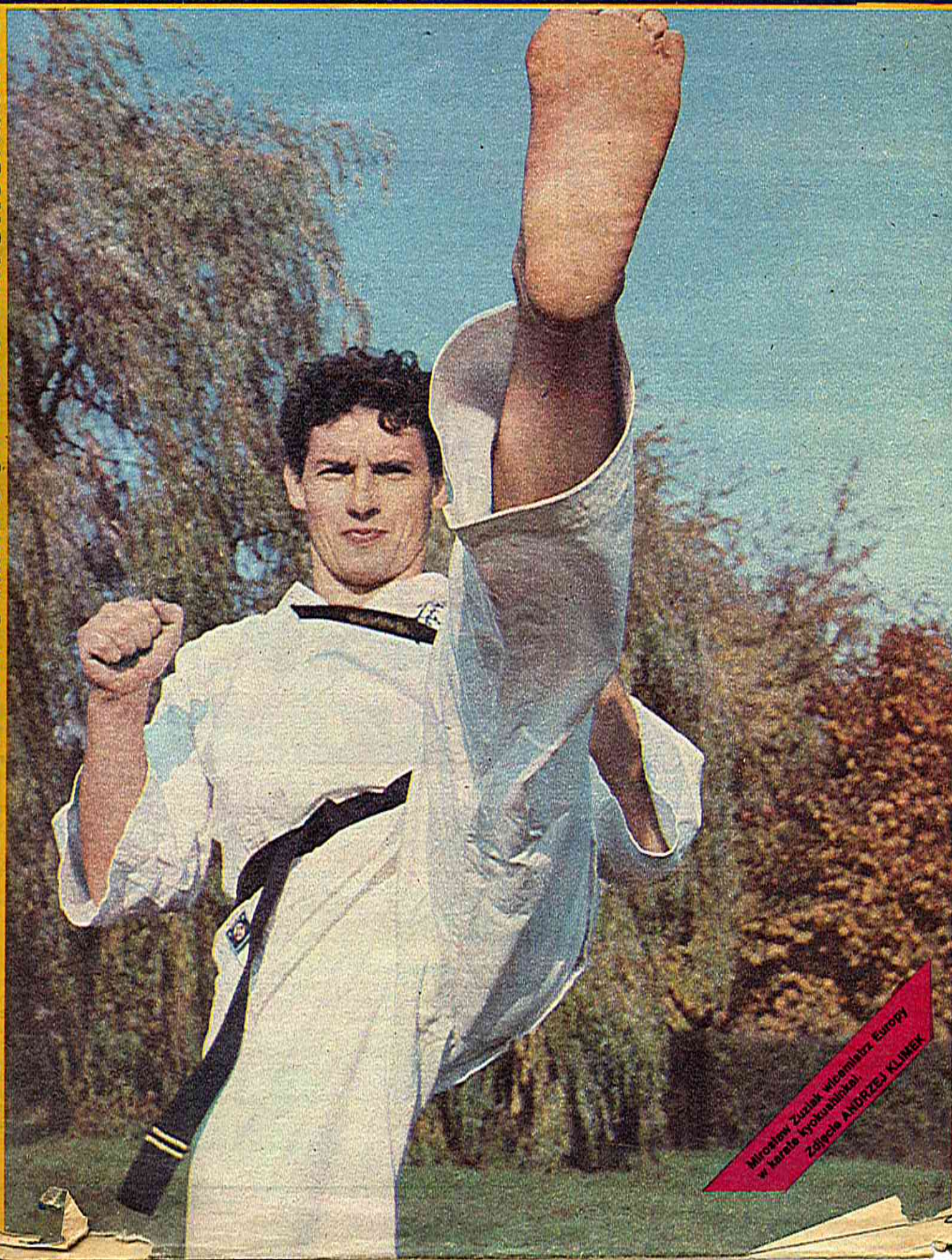


KUNG-FU KARATE KICK-BOXING

PAŹDZIERNIK
1989
CENA 500 ZŁ

budo 3/12



Mistrz Zuziak wicemistrz Europy
w karate kyokushinkai
Zdjęcie ANDRZEJ KLIMEK

JUDO • TAEKWONDO • TSUNAMI • AIKIDO • KENDO • KYOKUSHINKAI

Czerwiec w październiku

Ale się pokiełbasilo. Czytelnicy jeszcze nas nie pytają jaki stosujemy kalendarz, czy upodobałoby się im kalendarz księżycowy, lunarny, oparty na cyklu zmian faz księżyca, czy odkurzyliśmy berdyczowski, który był jednak znany z solidności. A może ogarnął nas rewolucyjny zapach i przypomnieliśmy sobie raptem o kalendarzu republikańskim...

Czytelnicy nie pytają nas o kalendarz, ale czują tę podskórna wściekłość, którą można wyczytać między wierszami w licznych listach skierowanych do redakcji. Zresztą niektórzy nie kryją uczucia. „Zaczęły mój list nietypowo, ponieważ ogarnęła mnie złość”. – pisze „szczerzy fan stylów walki” – że minęło pół roku od ostatniego wydania, a „Budo” numer 2/11 jeszcze się nie ukazuje. „Budo” jest gazetką, która zyskała wielu zwolenników, zapotrzebowanie na nią jest ogromne... Na pewno stwierdził pan, że robicie co w ich mocy – popularne „stawianie na głowie”, ale gazety nie ma...”

Podawano liczne przykłady tytułów czasopism, które zalegają półki w kioskach. Czasopismo, które nie cieszą się wielkim zainteresowaniem, a jednak ich jakby nie dotyczyły kłopoty z brakiem papieru. Wszystko to prawda.

Wiem, że słowo – przepraszamy – jest zbyt skromnym gestem wobec tych, którzy z niecierpliwością co dnia wyczekiwali od miesiąca czerwca na nasze nowe wydanie, a doczekali się dopiero w październiku. Ale jak zwykle w podobnych przypadkach się zdarza „kował zawinił, Cygana powiesił”. Czytelnicy rugają redakcję, a zawinił ktoś na wyższych szczeblach. Nie mam pojęcia, czy da się ustalić, kto tak bardzo nadwerżył cierpliwość naszych sympatyków. Ludzie na szczeblach, dawnym zwyczajem, lubią podejmować ważne decyzje anonimowo. Co gorsza nie wiem, czy szczerze przejmują się emocjami odbiorców. Inna jeszcze strona medalu, to taka, że zachwiany został rytm wydawniczy i teraz „październik” może wypaść w „grudniu”. Zażę dziwny kalendarz...

Ostatnią nadzieję wiąże z głoszoną poglądem, że ponoc zmierzamy do normalności. A pragnąc mieszkankę urządzić lepiej, trzeba zdaje się przejść piekło remontu i bałaganu.

W środowisku ludzi uprawiających dalekowschodnie sztuki walki również można wyczuć chęć dokonania zmian. Jedni nabierają werwy i ochoty do pracy, ale na własne konto. Drudzy żyją dawnym tokiem, licząc na manę z nieba lub ekstra dotacje. Sportowy świat trenuje obecnie biegi za sponsorami. Każdy myślący perspektywicznie działacz, pragnąc nie tylko utrzymać przy życiu sekcję, ale zapewnić zgrupowania i start w zawodach, szuka chętnego do zainwestowania sponsora. Rodzą się także pomysły prowadzenia działalności gospodarczej pod skrzydłami klubów, rozkręcenia tak zwanych brygad budowlano-remontowych. Nie są to pomysły świeże, gdyż dawno wypraktykowane w klubach prowadzących tradycyjne sekcje sportowe. Sporty dalekowschodnie podejmują swoją własną próbę „przezimowania”.

Śledząc polskie dzieje sportów azjatyckich zauważam, jak wiele sekcji po pierwszej entuzjastycznej eksplozji uratował w późniejszym okresie od zagłady czysty przypadek, zrządzenie losu, że komuś zachciało się jeszcze bawić w to, co ogromnie polubił.

W nowych czasach zarysowują się nowe zjawiska. Jednym z tego przejawów są narodziny prywatnych szkół i sekcji, prywatnych dojo. Zdaje się, że pod tym względem upodobniły się do normalnego świata. Potrzebna jest przy tym kontrola, żeby wraz z wylewaną wodą nie wyciekł muf. Ale kontrola nie może także przypominać położenia twardej, ciężkiej ręki, która tłamsi. I tą propozycją: życie i pozwólcie żyć innym zwracam się do rodzimych mistrzów sztuk walki.

LECH UFEL

● Polscy reprezentanci w mistrzostwach świata kobiet i mężczyzn w judo nie zawiedli. W Belgradzie nasza drużyna zdobyła trzy brązowe medale. Zdobyć medałow podzielił się **Beata Maksymow, Rafał Kubacki i Waldemar Legień**. Jeszcze raz potwierdziła się stara prawda, że apetyt rośnie w miarę jedzenia. W wielu relacjach i komentarzach z Belgradu wyrażano zawód, że tropy polskiej ekipy są zbyt małe. O mistrzostwach świata piszemy na str. 9-10.

● Zaczęliśmy kronikę od informacji medalowych, więc druga wiadomość w podobnym tonie. Po raz pierwszy polscy zawodnicy wzięli udział w mistrzostwach Europy kung fu wu shu w wolnej walce. Debiut wypadł nieźle. Drużyna przygotowana przez Sławomira Milczarka i Andrzeja Braksala zajęła w klasyfikacji zespołowej III mistrzostw Europy w Sztokholmie piąte miejsce. W rywalizacji indywidualnej **Marek Sajdek** w wadze 75 kg i

Polska ekipa po długich i solidnych przygotowaniach udała się do Budapesztu na egzamin w Pucharze Świata.

W kumite egzamin nie wypadł pomyślnie. Najlepszy Goliżowski był piąty. Zadowoleni byli reprezentanci w kata. Powoli gonimy świat. W następnym wydaniu magazynu reportaż z Budapesztu.

● **Arnold Goliżowski** z Elbląga miał przyjemność reprezentowania polskich karateków w światowych i grzybskich w sportach olimpijskich. W lipcowej imprezie w Karlsruhe Polak zajął w doborowej stawce piąte miejsce.

● Do Holandii zaproszono polskich kick-bokserów. Podczas tej wizyty, we wrześniu br., rozegrano w Hoorn pierwszy oficjalny mecz drużyn kick-bokserów Polski i Holandii. Ludzie trenera **Andrzeja Palacza** pokazali wielką klasę. Z dwunastu startujących Polaków tylko dwaj, **Piotr Falender i**

polscy kick-bokserzy otrzymali możliwość startu w Atlancie. I nagle wiadomość jak grom z nieba. Mistrzostwa świata przełożono na przyszły rok. Zawiedli organizatorzy.

● Siódmego lipca do rejestru związków wpisano Polski Związek Kick – Boxing. Uwieńczone sukcesem zostały wielomiesięczne starania działaczy kick-boksu pragnących oddzielenia się od Polskiego Związku Karate. Związek na razie nie posiada jeszcze własnej siedziby, a jego poczynaniami kieruje zarząd tymczasowy. Wkrótce dojdzie do I Walnego



Beata Maksymow, pierwsza z prawej, na podium w Belgradzie.

Dariusz Górecki w wadze 85 kg zdobył srebrny medal. Bardzo się cieszymy z ich występu i gratulujemy. O relaksie z mistrzostw poprosiliśmy trenera drużyny. Dzieli się nimi na stronie 19.

Oto nowi mistrzowie Europy wu shu w wolnej walce. 60 kg: **Nyberg** (Szwecja), 65 kg: **Amlera-Benes** (Hiszpania), 70 kg: **Mazzio** (Hiszpania), 75 kg: **Sancery** (Francja), 80 kg: **Siorgiejew** (ZSRR), 85 kg: **Grandjean** (Francja), 100 kg: **Anicet** (Francja).

● „*Nosze albo medale*” – zapowiedział zdecydowanie w poprzednim numerze „Budo” trener karateków startujących w zawodach WUKO – **Paweł Rafalski**.

Gerard Zdzisławski nie zdołał wygrać swoich pojedynków. Pozostali zwyciężyli zdecydowanie. **Salet, Warchol, Sawicki, Ogonowski, Wierot i Rumas** pokonali rywali przed czasem. Warto przypomnieć, że trochę wcześniej nasi kick-bokserzy gościli w ZSRR. Dobrych zawsze zauważa.

● Przygotowywali się w pocie czoła, ale niemal do ostatniej chwili nie byli pewni, czy uda się wystartować w mistrzostwach świata. Wreszcie dyrektor departamentu sportu KMIKF **Janusz Tracowski**, zakomunikował im wspaniałą wiadomość. Komitet sfinansuje pobyt czterech zawodników i trenera. W ten oto sposób



Marek Plotowski – niedawno w reprezentacji Polski, obecnie mistrz USA.

go Zjazdu PZK-B. Są emocje i dyskusje.

● Z przyczyn technicznych nie zdołaliśmy zamieścić korespondencji **Janusza Kawałko** z mistrzostw Polski w taekwondo WTF w Zamościu. Podajemy wyniki: 50 kg: 1. **Szachmytowski** (AZS Gdańsk), 2. **Grabowski** (Olsztyn), 3-4. **Kowalik** (MKS Krasnostaw), **Sokołowski** (AZS Lublin); 54 kg: 1. **Domitz** (Łomża), 2. **Jurak** (Pisz), 3-4. **Sadowski** (Krasnostaw), **Kosyński** (Pisz); 58 kg: 1. **Wnuk** (AZS Lublin), 2. **Górska** (AZS Lublin), 3-4. **Zawada, Glinko**; 64 kg: 1. **Zdonok** (Puławy), 2. **Bemet** (Puławy), 3-4. **Dzwonkowski** (Łomża), **Mysłowski** (Lublin); 70 kg: 1. **Krysa** (Puławy), 2. **Mitura** (Puławy), 3-4. **Malec** (Gdańsk), **Ochicz** (Lublin); 76 kg: 1. **Ptasznik** (Lublin), 2. **May** (Pisz), 3-4. **Kopaczewski, Górniak** (Warszawa); 83 kg: 1. **Nieróbca** (Lublin), 2. **Doroszowski** (Lublin), 3-4. **Trojan, Ellert** (Gdańsk); + 83 kg: 1. **Szubrowski** (Gdańsk), 2. **Bielakow** (Gdańsk), 3-4. **Malinowski** (Ostrowiec), **Browski** (Gdańsk).



Marek Sajdak, po lewej, podczas walki w mistrzostwach w Sztokholmie.

● Komisja kung fu/wu shu PZ Karate oraz Akademia Sztuk Walki Yang i Akademia Wing Chun zorganizowały turniej klasyfikacyjny w Poznaniu. Zawody rozgrywano w systemie light-contact. Oto zwycięzcy. 60 kg: **Tomaszewski** (Shaolin Chang Chuan Poznań), 65 kg: **Zając** (Shaolin Chang Chuan Tychy), 70 kg: **Sabuda** (Shaolin Chang Chuan Tychy), 75 kg: **Płoskonka** (Choy Lee Fut Kraków), 80 kg: **Macko** (Choy Lee Fut Kraków), ponad 80 kg: **Lukowicz** (Shaolin Chang Chuan Biłko-Biała).

● Nasz korespondent, T. Radzynkiwicz, informuje, że ostatnio gościli w Polsce dwaj wybitni specjaliści w dziedzinie ju-jitsu. **Valdo**

Schmidt ze Światowej Federacji Ju-jitsu odwiedził ośrodki: krakowski, łódzki i zielonogórski. Dr **Schyllinger** z Europejskiej Unii Ju-jitsu przebywał w Krakowie. Oba mistrzowie przeprowadzili szereg treningów.

● Na koniec zachowaliśmy najprzyjemniejszą wiadomość. **Marek Piotrowski** pokonał w Chicago samego **Ricky Rousea**. Dzięki temu zwycięstwu Piotrowski zdobył tytuł zawodowego mistrza USA w kick-boksie. Jest to już piąte zwycięstwo Marka za oceanem. Trzymamy kciuki za dalsze sukcesy.

● Z ostatniej chwili. M. Piotrowski dotrzymał słowa. Pokonał również Dona Wilsona i został zawodowym mistrzem świata.



Przemkowi Salecie brakuje w Polsce rywali.

● KENDO ●



Polscy kendocy walczą coraz lepiej.

Zdjęcie SYLWESTER MORAWSKI

DAR JAPONII

JAN TRAWIŃSKI

W pełnym rynsztunku kendocy wyglądają groźnie. Przewaga czerni. W rękach miecze, na głowach maski trochę tylko przypominające znane widoki z zawodów szermierczych, szyja osłonięta szczególnie starannie. Pchnięcie w gardło jest najbardziej cenione. Dyscyplina, która już na dobre zadomowiła się w naszym, sportowym jarmarku cudów. Jeszcze do niedawna patrzono na kendoków jak na ludzi nawiedzonych, pasjonatów nieszkodliwych i nikomu nie wadzących. Niech sobie ćwiczą, powiadano. Mijały lata. Dalekowschodnio sporty walki zyskiwały nad Wisłą rzesze coraz to nowych zwolenników. Rzecz całą obserw-

je się teraz jako coś stabilnego, trwałego. Okres niemowlęstwa i młocnych zębów minął bezpowrotnie. Konserwatyści z niechęcią konstatują, że z dziecka niechcianego, z kopciuszka wyrosło wunderkind. Kick-bokserzy, karatecy, kendocy zaczynają przywozić do kraju medale, zbierają za występy na międzynarodowych arenach recenzje lepsze od przedstawicieli dyscyplin będących oczkiem w głowie dotychczasowych ekip kierowniczych polskiego sportu.

Z rozegranych w Amsterdamie światowych mistrzostw Europy w kendo polscy zawodnicy przywieźli brązowy medal. Nasza ekipa w składzie: Adam

TOWAR NA BAZARZE



- Jest pan autorem ciekawych, pozytywnych książek o dalekowschodnich sportach i sztukach walki. Co kłoniło pana do zainteresowania się tą tematyką?

- Pierwszą książką było „Karate”. Był wtedy taki czas, że karate zdobywało w Polsce ogromną popularność. Wiele nazw i pojęć z tej dziedziny wyrażano na różne sposoby. Co mistrz, to inne określenie. Używano onetycznego nazewnictwa. Uważałem, że trzeba to wszystko u nas uregulować, usystematyzować. Karate wielu ludziom kojarzyło się z jakąś mityczną sztuką, opowiadano bajki o smokach skaczących dwa pietra do góry. Zaczęły funkcjonować idiotyzmy. Uznałem, że czas aby pokazać prawdziwe oblicze karate. Trochę wcześniej, w „Przeglądzie Wojsk Lądowych” wydrukowałem 30 odcinków o karate. Poskładałem je, uzupełniłem, dodałem i tak powstała książka. Napisałem ją sam, chociaż wielu osobom proponowałem współpracę. U nikogo wtedy nie trenowałem, nie byłem zależny od jakiegoś mistrza, nie miałem zobowiązań, mogła więc powstać obiektywna w treści książka.

- W praktyce nie znał pan tego sportu. Napisał pan książki o dalekowschodnich sztukach walki nie mając osobistych doświadczeń?

- Grałem w siatkówkę, a karate, które zaczęła uprawiać na mojej uczelni grupa zapalcunców, wydawało mi się dziwactwem. Ale wpadła mi w ręce ciekawa książka autorstwa Haveretza o karate. Napisała była w języku francuskim, którego nie znałem ani w zab. Postarałem się więc o tłumika i brnąłem. Co przetłumaczyłem, wyciągałem motocykl, jechałem na lotnisko i ćwiczyłem. Po treningu porządkowałem na gorąco notatki o tym, jakie napotykałem trudności, jakie miałem wątpliwości. Właściwie we wszystko - czego się dowiedziałem - wątpiłem. Nie miałem przy sobie karateckiego autorytetu, z którym mógłbym się podzielić moimi rozterkami. Z anatomicznym atlasem sprawdzałem więc, czy jakiś ruch jest możliwy. Później założyłem w Łodzi sekcję, którą prowadziłem przez trzy lata. Uczenie innych, było także szkołą dla mnie. Po treningu dużo rozmawialiśmy i odpowiadaliśmy na nękające nas pytania starałem się zawrzeć właśnie w książce.

- Proszę o przypomnienie pisarckiego dorobku z tej dziedziny.

- „Karate” ukazało się w trzech wydaniach, łącznie 280 tysięcy nakładu. Wydawnictwo MON uznało, że nie ma potrzeby tego tytułu wznowić. „Sztuki i sporty walki Dalekiego Wschodu” - dwa wydania, wkrótce wyjdzie trzecie, ale kiedy, nie wiem. Później napisałem 8 książeczek „Karate sportowe”, które doskonale się sprzedawały, ale wydawca zniechęcał czytelników nie dotrzymując terminów wydawania serii. Lada dzień ukazały się dwie następne książki, a miały być „Aikido”, która powstała we współpracy ze Stanisławem Makuchem i moja żona Ewa Miłkowska raz „W kręgu Bruce'a Lee” napisana wspólnie z Waldemarem Borzykowskim poświęcona kung-fu i taekwondo. Przygotowałem też materiał o kata, ale jak na razie nie mogę znaleźć wydawcy.

- Piszę, żeby dać pewną wykładnię filozoficzną o dalekowschodnich sztukach, po co się ćwiczy te walki, o przecież nie dlatego się ćwiczy, żeby się bić.

- Czy ze względu na specyficzny temat takie książki opracowuje się inaczej?

- Raczej nie. Najpierw trzeba rozwiązać kwestie semantyczne, później zebrać techniki, dotrzeć do wiarygodnych źródeł, żeby nie powiełać legend, następnie przećwiczyć na treningach. Zebrałem kilkadziesiąt stron notatek śladami i piszę. Samo pisanie „Karate” zabrało mi kilka miesięcy, natomiast przygotowanie - kilka lat. Również sprawy wydawnicze przeciągają się często do okresu kilkuletniego. I kiedy książka ukaże się w księgarni o wielu kwestiach napisałbym już inaczej.

- Jaką myśl przewodnią zamierzał pan przekazać swoim czytelnikom?

- Postawiłem sobie zadanie przekazania rzetelnego materiału informacyjnego. Nie tyle publicystyka, co prawda o tych sztukach. Żeby ludzie prowadzeni jak po sznurku przez jednego mistrza wiedzieli, że inne sztuki i rzeczy robią też normalni ludzie. Próbowałem zwalczać swoisty szowinizm stylowy, a nawoływać do tolerancji. Osobiście boję się nad tym, że coraz więcej jest karate sportowego, a mniej tradycyjnego, rozumianego jako system wychowawczy. Karate nie jest celem, lecz metodą do osiągnięcia

nięcia pewnych celów, nie mających nic wspólnego z metodami walki. Cele wynikają z pracy. Jeden jest matematykiem, inny zajmuje się astronomią, trzeci pasjonuje hodowlą róż. Podobnie karate i inne sztuki są sposobem, aby zostać wartościowym, mądrym człowiekiem. Wokół karate nie kręci się świat. To co najbardziej imponowało mi w postawie Funakoshiego, to decyzja o zawieszeniu na rok treningów po tym, jak Tokio nawiedziło trzęsienie ziemi. Przerwali treningi, ale spotykali się i pracowali przy odbudowie miasta. Oto sedno. Wszystko przecież przemija i ktoś, kto dzisiaj imponuje tygrysiem talentem walki, w przyszłości straci sprawność, zniedołężnieje i wtedy zada sobie pytanie, po co zajmowałem się tyle lat, prawie całe życie, karate? I odpowiem: ćwiczyłem karate, żeby kształtować swoją osobowość, bo do walki skuteczniejszy jest przecież czołg lub pistolet. Paradoks karate polega na tym, że dąży się do takiej doskonałości w walce, żeby człowiek nigdy nie musiał walczyć.

- Proszę odsłonić kilka tajemnic swojego warsztatu. Z jakich źródeł pan korzystał, gdzie zdobywał wiedzę przekazywaną później w książkach?

- Często sięgałem do źródeł nie mających nic wspólnego ze sztukami

walki. Chcąc na przykład sprawdzić, jaka jest rzeczywista popularność niektórych mistrzów i ich szkół, przetłumaczyłem wiele roczników japońskiego „Who is who”. Żeby lepiej zorientować się w historii dalekowschodnich sztuk walki w Europie, trafiłem do literatury rosyjskiej z czasów carskich. Poznałem prace wielu poważnych historyków. Pisząc natomiast o sprawach technicznych korzystałem z wniosków i doświadczeń w pracy z moją sekcją. Z ogromnej ilości książek na temat karate jakie ukazały się na świecie, tylko niektóre mają walor rzetelnej roboty. Jedną z nich, bardzo cenną jest praca Oyamy „What is karate”. Dokładnie pisał o tym, co w innych pozycjach jest zwykłą legendą, o medytacjach w górach, o walce z bykami. Można czasem spotkać rzetelne artykuły, które obalają mity.

- Do jakiego odbiorcy kierował pan swoje książki?

- Zdecydowanie do odbiorcy dorosłego. Starałem się pisać poważnie, żeby dorośli nie wstydzili się lektury. Lecz później, po skierowanej do mnie korespondencji, przekonałem się, że książki trafiały głównie do młodzieży w wieku 14-18 lat.

- Czy z pana książek można się nauczyć walczyć?



UCZEŃ UESHIBY

Powiedział, że należy do ludzi przeciętnych. Ze sztuką aikido spotkał się dawno temu. Jego ojciec był wówczas nauczycielem kendo w stołecznym Tokio. Nobuyoshi uprawiał więc kendo, interesował się drugim japońskim sportem narodowym jakim jest judo. Aikido odkrył przypadkowo. Sztuka ta nie była popularna, nie wiedział o jej istnieniu. Przez przypadek, trochę na zasadzie przekory zaciąknął się sztuką walki, której korzenie sięgają do najdawniejszej historii Japonii. Trafił zresztą idealnie, bo do szkoły Ueshiby, uznanego za największego autorytet aikido. Długo, cierpliwie i dokładnie poznawał filozofię i tajemnice nowego sposobu walki. Nie stracił wiary w powodzenie, co zostało nagrodzone przyznaniem mu pierwszego dana. To był przełom. Tamura zamieszkał odtąd w tradycyjnym japońskim domu w Tokio, w którym znajdowało się także dojo. Spędzał w nim na ćwiczeniach niemal całe dnie. Aikido stało się sensem jego życia, niemal zawodem.

Jego wielki shihan **Ueshiba**, uznawszy go za zdolnego ucznia, postanowił wysłać Tamurę do Europy. Uczeń bardzo się wtedy ucieszył, intrzygowała go atrakcja zobaczenia słynnego kontynentu. Przyjechał do Francji z przekonaniem, że wypad będzie krótki. Od tej pory minęło już dwadzieścia pięć lat. Dopiero po dziewięciu latach od tamtych dni wrócił do swojej starej Japonii, aby ją na krótko odwiedzić. Europa znów go wzywała.

Tamura szkoli entuzjastów aikido w wielu krajach. Spotyka ludzi faktycznie wiedzących o tej sztuce walki. Uczy jak może najlepiej. Sam dostał przecież dobrą szkołę bezpośrednio u samego Ueshiby. Ale ma wątpliwości, na ile wiernie przekazuje naukę mistrza. Uważa, że nie ma przekazów idealnych, że każdy nauczyciel w pewnym stopniu naukę poprzednika przekształca, wnosi załuszczenia. Aikido jest sztuką ruchu, sztuką której poznanie nie zależy od mechanicznego treningu. Tę sztukę należy czuć, rozumieć.

Dzięki czemu aikido zdobywa coraz więcej zwolenników na świecie? Tamura uważa, że ludzie wciąż czegoś poszukują. Zachowują się jak rozlana rzeka. I prawdopodobnie dla wielu z nich uprawianie aikido jest życiową motywacją, sensem, spełnieniem aspiracji. Kiedyś

była epoka judo, później nastąpił rozkwit stylów karate. Dzisiaj dynamicznie rozwija się aikido. Może budzić zdziwienie fakt, że sztuka w której nie próbuje się walczyć w sportowym stylu, a przez to trochę omijana przez mass media, zyskuje coraz większe uznanie. „My dużo pracujemy nad sobą” – wyjaśnia Tamura – „chodzi o naukę dla siebie, nie na pokaz. Techniki aikido są trudne. Trzeba dużo silnej woli i cierpliwości, aby je opanować. Poznaje się je w wolnym tempie, ale mają to do siebie, że fascynują, wciągają. I dlatego, myślę, ludzie znajdują tutaj to co chcą”.

Tamura jest powściągliwy w ocenach. Broni się przed wydaniem opinii o stopniu zaawansowania i umiejętnościach polskich aikidoków, których spotkał w Szczecinie. „Zbrali się tutaj aikidocy z całej Polski. Jedni potrafią więcej, drudzy mniej. Są różne poziomy. Jeżeli to, co widziałem można nazwać poziom „Polska” – to bardzo dobrze. W każdym porównaniu ważny jest punkt odniesienia. Ale w tym przypadku nieważne jest w ogóle porównywanie” – twierdzi mistrz. „Nie poziom, ale praca, entuzjazm, cierpliwość i wiele innych cech to najważniejsze w aikido”.

Czy mistrz na wszystkich stażach naucza tych samych technik, zachowań? Z jakim programem przybył do Szczecina? Tamura wyjaśnia, że każdy staż jest inny. Jego treść, charakter zależą od uczestników. Dlatego w każdym kraju są trochę inne lekcje. „To trudne do określenia, czego chciałem nauczyć Polaków – odpard – może zapytać o to samych Polaków”.

Często frapuje nas zagadka, jak ćwiczą, trenują ludzie, którzy o swojej sztuce wiedzą już prawie wszystko. Czy codziennie ćwiczenia już ich nie nużą. Mistrz porównał siebie do odkrywcy. Zwierzył się, że nigdy nie stwierdził: wiem już wszystko o aikido. Wciąż odkrywa nowe obszary w tej sztuce i właśnie to odkrywanie przynosi mu największą przyjemność. W dawnych, początkowych latach ćwiczył, żeby podwyższyć swój poziom sprawności fizycznej, zmierzał do idealnego opanowania technik. Obecnie ćwiczenia są dla niego nieprzebranym źród-

łem zadowolenia. Dzięki aikido broni swego „ego”.

W informatorach reklamowych zapowiadających przybycie Tamury do Szczecina podawano, że japoński shihan posiada wysoki stopień mistrzowski w tajemniczenia – ósmego dana Zaidan Hojin Aikikai. Ale w czasie stażu okazało się, że mistrz wcale się nie chełpi z faktu zdobycia aż tak dużego osiągnięcia. „Stopnie nie są interesujące” – ocenił wprost. „Byłem najszcześniejszy, gdy zdobyłem pierwszego dana. Połem nie odczuwałem już tak wielkiej satysfakcji, bo przecież nie stopnie są największą wartością naszej sztuki”.

Aikido, którego przestaniem ideowym jest świat miłości i dobroci dla bliźniego, zdobywa uznanie jako sztuka o charakterze defensywnym. W etyce aikido przejawia się dążenie do wykazania napastnikowi, że walka i agresja nie mają sensu. Napastnika trzeba pokonać, ale w taki sposób, aby odszedł bogatszy w człowieczeństwo. Droga do osiągnięcia ideału zawsze jest trudna. Co zdaniem Tamury, sztuce o nazwie aikido, najbardziej obecnie zagraża?

„Nie widzę żadnych zagrożeń” – odpard optymistycznie, ale chwilami popadał w zadumę i zwierzał się, że do dojo przychodzą także ludzie, których pociąga rywalizacja. Próbuja przekształcić aikido w typową dyscyplinę sportową. Lecz Tamura uważa się za tradycjonalistę. Dążenie do zwycięstwa za wszelką cenę, spektakularność i wiele innych cech rywalizacji sportowej ocenia jako niezgodne z ideałami Ueshiby. „Ci ludzie przychodzą i odchodzą. Nie widzę zagrożenia” – komentuje spokojnie.

Na zakończenie zapytałem mistrza banalnie: co mu dało uprawianie aikido? Uśmiechnął się i odpard, że wieloletnie stażowe wędrówki po Europie nie uczyniły zeń krezusa. „Nie uzbierałem nawet tyle pieniędzy, żeby wrócić do Japonii” – dodał. „Ale nie w tym rzecz, na aikido się nie zarabia. Każdy kto spotkał się z tą sztuką rozpoznał jej prawdziwe wartości”.

JANUSZ ZANTYR

Chciałem przedstawić przede wszystkim pogląd, że człowiek dzięki pracy może ukształtować swoje życie. Nie jest igraszką w rękach losu. Z książki nie można się nauczyć karate, aikido czy kung-fu. Starałem się napisać w ten sposób, aby to nie był rodzaj kultu dla człowieka, który może wszystkich pobić. Mnie irytują tacy jak Rambo, Rocky, Bruce – ludzie wykreowani na bohaterów, sztucznie stworzeni w celu fascynacji. Wybitny, prawdziwy karateka zawsze pozostanie skromny. Nanbu powiedział, iż odczuwa żenowanie jak dalece Europejczycy przywiązali się do symboli karate, do znaczków, pasów. On uważa, że karate nosi się w sobie, a nie na sobie. Tak jak człowiek zakochany, nie rozgłasza na lewo i prawo o swoim uczuciu, uważając to za sprawę intymną, osobistą, tak prawdziwy karateka nie chce się chwycić, nie chce się chwycić, nie chce się chwycić, uznając to za sprawę swego ducha.

Czy po lekturze tych książek można zrozumieć dalekowschodnią sztukę walki?

Też nie. Książka to forum poszerzonej rozmowy sympatyków danej dziedziny. Natomiast zrozumieć można tylko przez praktykę. Nie twierdząc natomiast, że w celu zrozumienia karate i Japonczyka zajmującego się karate czy aikido, trzeba znać Japonię. Trzeba jednak wiedzieć, że istnieją ludzie, którzy mogą mieć inną od naszej skalę wartości. My nie kulturowujemy aż tak mocno pracy. Podporządkowanie się rygorom pracy, uważamy nieraz za sposób na ograniczenie wolności, nie zaś za przydatną formułę na szczęśliwe życie. Przypomnę kodeks Bushido. Polska przeżyła sytuację samuraja, którego życie przypomina barana ciałonętego na sznurku. Lecz samuraj byłby nie-szczęśliwy, nie mając tego zbioru przepisów, które nie utrudniają, a ułatwiają mu życie. On uważał Bushido za rodzaj „savoir-vivre”, a nie za wojskowe regulaminy.

Co sprawiło panu największą przyjemność przy pisaniu książki na temat dalekowschodnich walk?

Obcowanie z wielowiekową kulturą jaka jest zaklęta w sztukach walk sprawiło mi największe zadowolenie. Ten powiew historii czuje się w technikach. Najbardziej drażniły mnie natomiast ciągle potykanie się o stylowy szowinizm oraz pieniądże, które coraz bardziej otaczają współczesne karate. Karate przekształcono w towar handlowy na zasadzie: „ludzie to lubią, ludzie to kupią byle dużo, byle głucho”. Boli, że na świecie subtelne i mądre książki o karate, są mniej znane i popularne od prymitywnych samouczków. Uważam, że karate nie jest towarem na sprzedaż. To dobrze funkcjonuje we wnętrzu nas, ale nie jako towar na bazarze.

Proszę jeszcze o szersze odsłonięcie kurtyny. Chcielibyśmy zobaczyć autora.

Karate to po prostu moje hobby. Poza tym pasjonuje się wędrownym. Z wykształcenia jestem chirurgiem, ale z zawodu zajmuję się terapią – nauką o przyczynach i przebiegach powstawania wrodzonych. Pomagam także w domu żonie, która trenuje karate.

Dziękuję, życzę wielu ofert i powodzenia w wydawców, i nowych, równie interesujących książek pana autorstwa.

Rozmawiał:
LECH UFEL



Mirostaw Zuziak demonstruje ulubioną technikę mae-geri. Autor artykułu, po namyśle zgodził się służyć jako cel.

● KYOKUSHINKAI ●

Mirka Zuziaka najbardziej mobilizuje krytyka żony. dodaje mu jakby siły napędowej. Ona wypowie su uwagę o jego karate a on stara się wtedy udowodni żona się myli.

Dwudziestego maja Mirek został wicemistrzem Eu A żona skwitowała: „Mogło być lepiej...”

CZŁOWIEK



Z „TORI”

Mae-geri

Ulubioną techniką Zuziaka jest mae-geri. Technika na pozór nieskomplikowana, lecz na zawodach również niepopularna. Uważa się ją za mało skuteczną. Trafić rywala w korpus, w okolicę klatki piersiowej można szybciej i prościej, niż w głowę. Ale trafić chusoku w ruchliwą głowę, to naprawdę niezła sztuczka. Wystarczy, że rywal lekko się odsunie, uchyli i nie dość, że zamiar spali na panewce, można sobie napytać biedy.

Ale Mirek jest jednym z nielicznych, który nie boi się ryzyka stosując mae-

geri. „Do wykonywania tej techniki mam akurat dobre warunki fizyczne, mam długie nogi” – twierdzi. „Nieźle szpagat, nienajgorszy jestem również w biodrach, co pozwala na zwiększenie zasięgu kopnięcia”.

Podczas walki nie kryje przed przeciwnikiem swojego atutu. Przeciwnie, kiedy chce uderzyć, odnosi nogę i niczym bokser styl „lewej prostej” trzyma przeciwnika przywołując odległość. Jeśli do sprzyjającej chwili, gdy rywal wykona małą ruchliwość, już za pierwszym uderzeniem uderzy celnie i skutecznie w głowę „wyrażne wrażenie”. „Gorzej jest takiego, który jest bardziej ruchliwy, ale nie potrafi dobrze poruszać się na nogach” –

naje, ale tych karateków spotyka na swej drodze niezbyt często.

Jodan

Przed dwoma laty dostał szczęścia reprezentowania barw reprezentacji Polski w mistrzostwach Europy w Katowicach. O udziale w zawodach tak wielkiej rangi śni wielu sportowców. Mirek, jak na debiutanta przystało, obiecywał sobie walkę nieustępliwą, aż do kresu sił. Tym bardziej że na widowni zasiadli znajomi, rodzina. Wypadało pokazać się z dobrej strony. W pierwszej walce z ogromną werwą natarł na szwajcarskiego przeciwnika, wziął się do roboty z dużym zapałem, chcąc udowodnić wszystkim, że nadziej w nim pokładanych nie zawiedzie. No i stało się... Chociaż osiągnął przewagę, wrócił do szatni w ponurym nastroju jako karateka zdyskwalifikowany. Szwajcar trochę się pochylił, Mirek nieprecyzyjnie wykonał technikę i wyszła najgorsza rzecz na świecie: uderzył rękami w twarz. Sędziowie zakwalifikowali akcję jednoznacznie: atak rękami na jodan, czyli niedozwolony sposób. Pryst piękny sen.

Przeżył duże rozczarowanie, ale nie załamał się. W tym roku nadarzała się w Budapeszcie okazja do rewanżu. Bogaty w doświadczenie wygrywał walkę za walką. Polityczki z Brytyjczykiem Edwardem nie zdołał rozstrzygnąć w kumie, ale lepszy był w próbie *tameshiwari* i dotarł aż do finału. „Wydawało się, że Da Costa uderzył mnie w sposób nieprawidłowy, zastosował technikę, która u nas w kraju uznawana jest za zabronioną. Pokazywałem sędziom, że zostałem sfalutowany. Chyba zbyt sugestywnie się zachowywałem i nabrałem sam siebie...”

W tych oto okolicznościach stracił złoty medal, ale kiedy minęło kilka dni, kiedy opadły emocje, uznał że zalicza się do szczęściarzy. Czy to nie szczęście być wicemistrzem Europy?

Kihon

Największą przyjemność z treningowej harówki odczuwa wtedy, gdy skończy wszystkie ćwiczenia i wejdzie pod prysznic. Spadająca woda przynosi ogromną ulgę... Wszystkie treningi dadzą się podzielić na treningi o charakterze siłowym, wytrzymałościowym i szybkościowym. Na miesiąc, dwa przed ważnym startem ćwiczy siłę. Wtedy trzy zajęcia w tygodniu przeznaczają na przerzucanie sztangi w siłowni. W okresie wytrzymałościowym dominują biegi, długie wielokilometrowe wycieczki. Gdy nadejdzie okres „szybkości” wtedy wiadomo, że Zuziak ćwiczy sprinty. Ale jednej rzeczy nie zaniedbuje nigdy: techniki. „Technikę ćwiczę na okrągło” – wyznaje. „Dokonałem ją w kihonie, bez partnera, z partnerem. Dużo trenuję na przyrządach: worki, gruszki, manekiny – to przerzucam bez przerwy. Szczególną uwagę poświęcam pracy nóg. Staram się jak najczęściej brać do rąk skakankę, przerabiam również takie elementy jak skracanie i wydłużanie dystansu, schodzenie z linii ataku. Przez cały cykl szkoleniowy pamiętam, aby część treningu przeznaczyć na specjalne ćwiczenia nóg”

Wicemistrz Europy trenuje pięć razy w tygodniu, od poniedziałku do piątku. Jak większość karateków spędza czas w sali w niezbyt sprzyjającej do ćwiczeń porze, późnym wieczorem, po godzinie dwudziestej. Czasem wyjeżdża na zgrupowania i wtedy pracuje jeszcze mocniej nad poprawą ogólnej sprawności fizycznej. Doskonali swoje dynamiczne techniki nożne i jak na karatekę

ze szkoły Kyokushinkai przystało poprawia odporność na ciosy.

Samuraj

W ciągu szarego dnia Zuziaka można odnaleźć w ośrodku TKKF „Samuraj”, gdzie jako zastępca kierownika działu gospodarczego biega i coś załatwia. Członkowie Bielskiego Klubu Dalekowschodnich Sportów Walki „Tori” znają go przede wszystkim jako instruktora.

Przed laty Mirek marzył o karierze senneczkarza. Zapisał się do klubu, wspinał na Kozią Górę w Bielsku-Białej, ale się zniechęcił. W klubie brakowało sanek. Zdarzało się, że na treningu zmarł, a tylko raz zjechał z góry. Cóż wart senneczkarz bez sanek?

Potem we Włókniarzu pobierał lekcje gry w siatkówkę. Pojętnym był nawet uczniem. Wysoki, skoczny chłopak otrzymał powołanie do kadry Polski młodzików. Były piłki i siatka, lecz zniechęciła go atmosfera w klubie. Porzucił zainteresowania sportowe. Upłynęło kilka lat i zdarzył się przypadek. Biegając w parku z kolegami zobaczył ćwiczących karateków. Zaciekawili go ich zajęcia, więc zapytał nieśmiało instruktora, jakie są możliwości uprawiania tego sportu. **Aleksander Cyper** powiedział, że trzeba po prostu przyjść i się zapisać. Postąpił według rady... Upłynęło już jedenaście lat od tamtego epizodu. Mirek od początku należał do prymusów szkółki. Dziwnie się złożyło, lecz kiedy zdobył drugie kyu, akurat wykruszyła się w klubie kadra instruktorów. Mirek ćwiczył nadal według własnych pomysłów. Później po rady i wskazówki szkoleniowe udawał się do krakowskiego senseia – **Andrzeja Drewniaka**. Wreszcie wziął na swoje silne barki losy klubu. Z biegiem lat, spod ręki Zuziaka wychodzili nowi instruktorzy. „Tori” zalicza się do bardziej znanych klubów kyokushinkai w Polsce.

„Szkoląc zwracam często uwagę” – przypomina – „że nie można doskonalić tylko jednej techniki. Doszedłem do wniosku, że w walce decydują nie najmocniejsze nasze strony, ale umiejętność naprawiania słabych. Wygrywają przeważnie ci, którzy są wszechstronnie i dobrze przygotowani, którzy posiadają bogaty „repertuar technik”.

Zdobył srebrny medal mistrzostw kontynentu, lecz nie zdobył jeszcze najwyższej nagrody mistrzostw kraju. Najczęściej z walki o mistrzostwo kraju eliminuje go przykra, bolesna kontuzja lewego golenia. Co jakiś czas w tym samym miejscu nogi wyrasta złośliwy obrzęk, efekt dawnej niezaleczonej dobre kontuzji.

Twierdzi, że medal europejski zdobył dzięki uporowi, samozaparcu. A ponieważ cech charakteryzujących górall spod Żywca nadal nie stracił, nie zgasta nadzieja na sukces w rywalizacji krajowej. Zresztą – nie może się poddać, musi to udowodnić żonie!

Przed kilku laty Mirek poznał na treningu dziewczynę, która została później jego żoną. Karate skojarzyło ich małżeństwo i chociaż w domu unikają rozmów o kopnięciach i ciosach, karatecki sport żyje wśród nich, narzuca rytm wszystkim dniom. Anna posiada stopień mistrzowski, odnosi sukcesy w krajowej rywalizacji kobiet, reprezentowała Polskę w katowickich mistrzostwach Europy. Po urodzeniu dziecka, wraca do wysokiej formy.

Nic dziwnego, że Mirek Zuziak stara się na treningach i mocno ćwiczy. Jaki mąż chciałby przegrać z żoną...?

LECH UFEL

KICK BOXING



ANDRZEJ PALACZ:

„We wrześniu byliśmy w Holandii, gdzie nasza drużyna kick-bokserów walczyła z reprezentacją holenderską. Moi zawodnicy pokazali duże umiejętności i zainteresowali przedstawicieli tamtejszej federacji tajboksu. Zachęcali oni, żeby nasi chłopcy spróbowali powalczyć w tajbokse, bardzo popularnym w Holandii, oblicali niezłe pieniądze. Wspominałem o tym, aby zaznaczyć, że dostrzegaliśmy naszych kick-bokserów za granicą.”

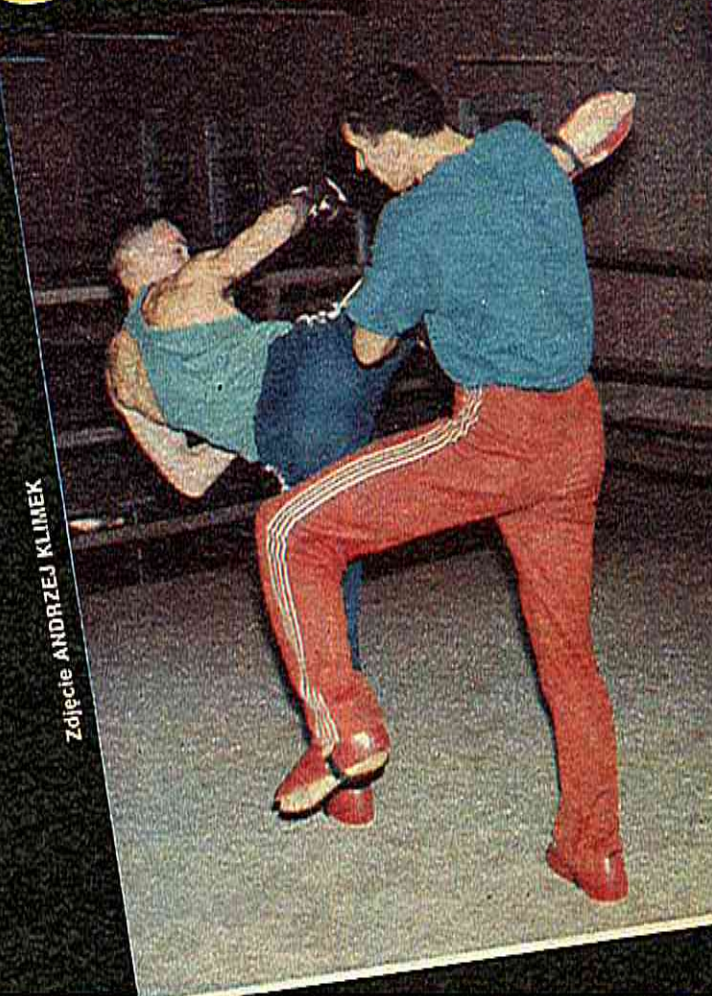
Andrzej Gmitruk, były trener kadry bokserów, pomagał mi na jednym ze zgrupowań. Poznał

moich chłopaków i stwierdził z uznaniem, że na sprawdzianach, testach osiągają lepsze wyniki niż polscy pięściarze. Piotrek Slego czyścił biega na przykład na tyśiąc metrów w dwie minuty i trzydzieści siedem sekund, Przemek Saleta pokonuje setkę w 11,6 sekundy.

To jest właśnie nasza siła: broń: dobrze przygotowanie ogólne i żywioł. W ostatnim czasie jeździliśmy od zgrupowania do zgrupowania. Kilka dni przerwy i dalej...

Kick-boxingiem zajmuję się już kopę lat, dokładnie od 1979 roku. Najpierw tylko w klubie, potem także w kadrze. Moja dewiza na sukces jest dość prosta: ciężka

SEKRETY



Zdjęcie ANDRZEJ KLIMEK

praca i pasja. Tego myślę, że mi nie brakuje. Ja także, jako trener dużo się jeszcze uczę. Kick-boksing to sport, który nie uznaje schematów, co rusz w nim się coś zmienia. Dlatego mnóstwo czasu poświęcam na analizę walk. Co tylko może okazać się przydatne staram się zawrzeć na magnetowidowych taśmach. Wyszukuję kasety z pojedynkami kick-bokserów, ale najbardziej wzoruję się na walkach stynnych zawodowych bokserów. Dwa magnetowidy już zjeździłem oglądając to wszystko. Zawodowi bokserzy odznaczają się żelazną kondycją, w każdym ciśnie wyczuwa się ogromną siłę, nie ma zmarnowanych uderzeń. Pokazują przede wszystkim znakomitą technikę. Niektórym wydaje się, że walka w ringu sprowadza się do zadawania ciosów sierpowych, prostych i haków. A ile tam gry, uników, doskoków, zaston. Takie kasety to prawdziwy skarb wiedzy. Co zdołam dostrzec interesującego staramy się wypróbować w naszych warunkach. Dzięki kasetowej analizie doszedłem do wielu bardzo cennych wniosków.

Czasem słyszę zdziwienie, że w naszych walkach mało kopnięć. Zawodnicy dobrej klasy skracają dystans, utrudniają możliwość zadawania ciosów nogami, oto jedna z tajemnic sukcesów. Dobry zawodnik w chwili kopnięcia nie opuszcza rąk, nadal trzyma gardę. Ale do tego potrzebny jest nawyk i właśnie kondycja.

Nasz trening, uważam, trochę się różni tym od treningu ludzi uprawiających dalekowschodnie sporty walki, że większą uwagę przykładamy do przygotowania ogólnego. Na naszych zajęciach, w zależności od cyklu i charakteru treningu, dużo cieżarów, sporo biegania w terenie, a także worki, skakanka i oczywiście sparringi. Uważam, że metody treningowe, lansowane przez sporty wschodnie po prostu się nie sprawdziły. Dostrzegł to już Japończyk.

W karate zadaje się pojedyncze ciosy, może nie potrzeba aż tak wielkiego przygotowania fizycznego. Kick-bokserzy, którzy rozpoczęli przygodę sportową od karate, dość długo nie potrafili się pozbyć nawyku zadawania pojedynczych ciosów. Przygotowując się do mistrzostw świata w Atlantic City założyłem, że na ringu amerykańskim naszą taktyką powinna być metoda „zageszczenia walki”, czyli serie ciosów, walka głównie w półdystansie i szybkość akcji. Dlaczego przyjąłem ten właśnie plan? Przewidywałem, że w krótkich dwurundowych potyczkach przyjdzie mi z zawodnikom spotykać się z rywalami nieznanymi. Kick-bokserów europejskich znamy, ale zawodnicy z kontynentów amerykańskich to dla nas wielka niewiadoma.

Moją grupę charakteryzuje jeszcze jedna ważna cecha. Są to zawodnicy, którzy naprawdę ciężko pracują na treningach. Prawie sami, za własne pieniądze organizujemy te zgrupowania. Szanujemy się. Wcale ich nie pilnuję, czy zachowują ciszę nocną, czy przestrzegają prawdziwie sportowych reguł postępowania. Kto nie pasuje do naszego grona, ten eliminuje się sam.

Mistrzostwa świata to nasz drogowskaz. Nie mam jeszcze konkretnych planów na przyszłość. Kto wie, może zorganizujemy zawodową „stajnię”, coś na wzór kolarskiego „Exbudu”. I wystąpimy w cyklu zawodów zwanych gala...

U.

W gronie ciekawych ludzi zgłosił się pianista. Zwierzył się ze swojego kłopotu. Nie potrafi się dobrze skoncentrować na koncertach. Co robić? Czy firma „Shaolin” – kung-fu” coś mu pomoże?

Zyjemy w czasach charakterystycznych nie tylko ze względu na rosnące ceny. Rodzą się nowe zjawiska, powstają w Polsce także prywatne firmy i szkoły nauczające sportów i sztuk Dalekiego Wschodu. Pojawiają się one niczym grzyby po dobrym, sprzyjającym deszczu. Andrzej Braksal twierdzi, że tym „deszczem” była grudniowa ustawa o działalności gospodarczej. Ważnym państwowym aktem zezwolono wreszcie na nieskrępowaną działalność. Braksal zarejestrował więc w wydziale handlu firmę o nazwie „Shaolin – kung fu”.

Firma nie produkuje, nie pośredniczy – zapoznaje z technikami dalekowschodnich walk, poleca chińską gim-



Zdjęcie RYSZARD WIŚNIEW

PRYWATNE LEKCJE

nastykę leczniczą, oferuje popularny na świecie cross-trening, czyli ćwiczenia kilku rodzajów sportu.

Sześć firmy znany był dotąd jako świetny instruktor kung fu w warszawskim ośrodku TKKF „Stadion”. Przysnął jednak, że obecne warunki nakłoniły go do poszukiwań nowych rozwiązań. TKKF ze względów placowych, był coraz mniej atrakcyjnym pracodawcą. Na poznanie chińskich metod walki szczególnie stylu Shaolin ze szkoły dr Yang Jwing Minga, a także chińskiej filozofii i kultury, poświęcił mnóstwo lat. Doszedł do wniosku, że dobrym wzorem szkół i ośrodków zachodnich, mógłby się pokusić również o pracę na własną rękę. Do podobnych wniosków doszło wielu instruktorów w Polsce. Powstają szkoły przypominające nieco wypraktykowane wzorce mistrzów skupiających uczniów.

W treningach klubowych, na zajęciach ognisk TKKF jeden instruktor pracuje z dużą, liczącą kilkadziesiąt osób grupą. W tych warunkach nauka postępuje dość wolno. Braksal nie zamierza zerwać całkowitego kontaktu ze „Stadionem”, gdzie chciałby nadal szkolić

w wymiarze masowym. Ale nie ukrywa, że błyskawiczny postęp, większe umiejętności i głębszą wiedzę gwarantują jednak lekcje w prywatnej szkole. Przewiduje w niej naukę w małych, kilkuosobowych grupach, a nawet – zgodnie z życzeniem – „korepetycje” jednoosobowe. Wszystko według zasady: płacić i wymagać.

Firma ledwo powstała, szybko się rozkręciła. „Z jej działalności już się utrzymuję, chociaż nie jest u mnie tanio” – przyznał jej szef. „Godzina zajęć kosztuje 10 tysięcy złotych.” Największym problemem nowej szkoły jest oczywiście brak własnej sali sportowej. Wynajmują kąpielnię w ośrodku TKKF, wynajmują salę w placówkach oświatowych, a w razie możliwości i potrzeb,

dobry jest również ogród właściciela. Nowe szkoły, jak nam zwierzył się szefowie, planują także budowę nowych dojo, szukają więc ciekawych kół, penetrują piwnice, które można by zaadaptować na sportowe kąpiele. Zapowiada się interesująco.

Mimo ogromnej popularności sześć Braksal nie zamierza przerywać w ośrodek masowej adult sposobów walki wręcz. „Nas powinni wyróżniać profesjonalizm” – twierdzi. „To jakby wierzchołek góry lodowej. Tylko nielicznych przyjmuję. My nie jemy ogłoszeń, nie szukamy reklam. Cechuje nas to, że w indywidualnym specjalnym toku szkolenia osiągamy dużą skuteczność. Trzeba powiedzieć otwarcie: to szkoła w pewnym sensie elitarna, o dużych wymaganiach, pewno nie służąca tym, którzy po pierwszym kursie zamierzaliby walczyć w liceum”.

Na zajęcia przychodzą również dzieci, których celem wcale nie jest początkowe poznanie metod walki, czy sposobów samoobrony. Pewne ułomności fizyczne, kłopoty zdrowotne nie pozwalają im na intensywne ćwiczenia fizyczne. Poznają style wewnętrzne kung fu. Szczególnego rodzaju gimnastykę przypominającą jogi, pozwala im kształtować siłę wewnętrzną. Praktykuje niezwykle metody oddychania i templacji.

Pianista poprosił o treningi, w tym sposobem chińskiej gimnastyki leczniczej pozna metody koncentracji. A przy okazji poprosił o lekcje samostanowienia, o zapoznanie ze stylem, w którym nie trzeba używać tak cennych dla go palców. Trafił dobrze, do szkoły. Lecz nie wiadomo, ile powie toż w Polsce firm przypadków szkół hołdzących...



Zdjęcie ANDRZEJ KLIMEK

Nie wiem jak to się dzieje, ale nigdy cyki produkcyjny „Budo” – o ile taki istnieje – nie może zostać dopasowany do terminów judo mistrzostw świata i Europy. Wrażenia z Helsinek dołączyły do Czytelników z opóźnieniem, natomiast moknąc w belgradzkim deszczu nie spodziewałem się, iż na refleksję z tamtejszego championatu pozostanie mi tak mało miejsca. Niestety, jest to materiał „na wcisk”, gdyż inne musiały być złożone w drukarni przed początkiem XVI mistrzostw świata judoków. Proszę o usprawiedliwienie w następnej edycji „Budo” będzie trochę oddechu dla głębszej wivisekcji tego, co działo się przez sześć dni w sali „Plonir”...

Już widzę grymas na twarzy Ryszarda Zieniawy i bystro spojrzenie prezesa Marka Pintary, ale z Belgradu wyjeżdżam z wrażeniem niedosytu. Nie, nie rozczarowania, ale niedosytu właśnie. Z jednej strony brązowe medale niezawodnego tercetu Maksymow-Legień-Kubacki cieszą, bo jest to obiektywny sukces, ale... Porównałem wyniki z Helsinek z tymi z Belgradu. Od razu widać, iż w przygotowaniach drużyny kobiet musiał nastąpić jakiś błąd. Nie sądzę, aby zaważyła na tym sprawa czasowe-

Korespondencja z Belgradu

go opuszczenia stanowiska trenera kadry przez Jacka Skubisa. Jerzy Dodziań wkroczył bowiem do akcji „za pięć dwunastą” i ani nic poprawić, ani popsuć nie miał możliwości. Ekipa belgradzka, nie licząc oczekującej dziecka Bogusławy Olechnowicz, była najsilniejszą na jaką stać damskie judo, ale wypadła bezbarwnie. Brak było świeżości, bojowości, zawodniczek narzekały na monotonię treningów, ciągle randori tylko ze znanymi sobie – aż zbyt dobrze – rodzimymi rywalkami. To żaden wysiłek i konkurencja. Dziewczyny mają za mało startów, przemęczone są monotonią zgrupowań, u teoretycznie najlepszych stres startowy – mierzony skokiem tętna – eksploduje do gigantycznych rozmiarów. W reprezentacji chyba najwyższy czas sięgnąć po juniorki: Strzałkowską, Smoleń i Urban-ską zamiast kisić je nadal pod młodzieżowym kłosem. Usprawiedliwieniem wyników Polek może być tylko to, iż kobiece judo 1989 to zupełnie inny sport (olimpijski przeciwieństwo), niż trzy, cztery lata temu. Azjatki, wspaniałe Brytyjki, Francuzki i... reszta do podziału. Pierwszymi do tego były dziewczyny Skubi-



Wadek Legień i Frank Wienieke: tym razem walczyli o brąz.

FELIETON WYMUSZONY



Zdjęcie MAJA SOKOŁOWSKA

Koba Kurtanidze przegrywał ongiś z Jerzym Kolanowskim championatu juniorów. Teraz niepodzielnie rządzi w wadze 95 kg i jest mistrzem świata.

sa, teraz konkurentek jest dużo więcej. Rosjanka Petrowa to przecież aktualna wicemistrzyni świata...

Większa równowaga sił panuje wśród mężczyzn. Rok poolimpijski miał być sezonem ulgowym, ale jeśli się osiągnęło taką pozycję jak w Seulu, to pojęcie „ulgi” ma zupełnie inną wartość. Poza kontuzjowanym Jackiem Bouterem Ryszard Zieniawa powołał pod broń najlepszych zawodników w Polsce. Zawiodł właściwie tylko Wiesiek Blach (czy zastąpi go na stałe Krzysztof Kamiński), trudno oceniać start debiutanta Banaszczyka, czy młodych Nastuli i Bogackiego. Piotr Sadowski (nadal konkurencja z Rybickim) stanął na wysokości zadania. Dla mnie zaś zarówno Rafał Kubacki jak i Wadek Legień mogli walczyć w finale tegorocznych mistrzostw. Stać ich na to, bo przecież przeciwnicy mają czuć respekt przed naszymi, a nie odwrotnie. Obu zabrakło błysku, bo nikt mnie nie wmówił, że Rafał musiał tak sromotnie przegrać w półfinałowej walce z Moreno, że Legień nie był w stanie zaliczyć na Mochidzie jednej ze swoich popisowych technik. A już zupełnie nie rozumiem dlaczego Kubacki nie stanął na starcie kategorii open? Próbować piętego zawodnika w Polsce – wśród seniorów –

sympatycznego Bogackiego – można wszędzie, ale na liść czemu od razu na mistrzostwach świata, gdzie lekko otrzymał dość brutalną. Tymczasem „Kuba” miał prawie plażę na końcu której czekał w finale wielki Ogawa. Niestety, ten współczesny drapieżny sport polega na wykorzystaniu każdej szary, a los i talent wrzucają Rafałowi czerwy w ciąg roku. I nie można, nie mają praktycznie krajowej konkurencji, oddawać bez walki połowy szans.

Boję się również, żeby nad ekipą Ryszarda Zieniawy nie zawisło fałszywe mistrzostwo świata. W Belgradzie odbyliśmy już 16 imprez, a nadal nie mamy polskiego złota. I prezes Marek Pintar na próżno zdobywał w ambasadzie polski hymn narodowy. Takie czasy, że minimalizować nie sposób. Na całość poszli Kubańczy i Mongołowie, a u lepszych zawodników, warunków szkoleniowców nie mają.

Jeśli Polak zdobędzie tytuł mistrza świata gołę moją szesnastoletnią brzoję. Do egzekucji mam 24 miesiące. Judocki Boże chroń Legienia, Kubackiego i jakiś tajny talent, który eksploduje w Barcelonie 1991, a za rok powtórzy to na Igrzyskach! Amen.

JACEK KORCZAK-MLECZK

JUDO

WORLD
CHAMPIONSHIPS



BEOGRAD
YUGOSLAVIA

1989

MISTRZOSTWA ŚWIATA
Kobiet i Mężczyzn
w JUDO.

Beograd 10-15 października 1989

KOBIETY. Waga 48 kg: 1. Karen Briggs (Wielka Brytania), 2. Esaki Fumiko (Japonia), 3. Jessica Gal (Holandia) i Cecile Nowak (Francja). **Waga 52 kg:** 1. Sharon Rendle (Wielka Brytania), 2. Alessandra Giungi (Włochy), 3. Martiza Perez (Kuba) i Minsun-Ho (Korea Południowa). **Waga 56 kg:** 1. Catherine Amaud (Francja), 2. Ann Hughes (Wielka Brytania), 3. Miriam Blasco (Hiszpania) i Yong-Sun (Korea Południowa). **Waga 61 kg:** 1. Catherine Fleury (Francja), 2. Elena Petrova (ZSRR), 3. Gabi Ritschel (RFN) i Tako Koboyaschi (Japonia). **Waga 66 kg:** 1. Emanuele Pierantozzi (Włochy), 2. Hakiri Sasaki (Japonia), 3. Claire Locat (Francja) i Rene Jimenez (Kuba). **Waga 72 kg:** 1. Ingrid Berghmans (Belgia), 2. Yuko Tanabe (Japonia), 3. Aline Battellier (Francja) i Wu-Feng (Chiny). **Waga ponad 72 kg:** 1. Gao-Fenglian (Chiny), 2. Regina Sigmund (RFN), 3. RENATA MAKSYMOW i Natalia Lupino (Francja). **Waga open:** 1. Estella Rodriguez (Kuba), 2. Sharon Lee (Wielka Brytania), 3. Yoko Tonabe (Japonia) i Jing Song (Chiny).

MĘŻCZYŹNI. Waga 60 kg: 1. Amiran Totikaszwill (ZSRR), 2. Tadahori Koshino (Japonia), 3. Yoon Hyoon (Korea Południowa) i Battula Dasgombyn (Mongolia). **Waga 65 kg:** 1. Dragomir Becanovic (Jugosławia), 2. Quellmalz Udo (NRD), 3. Siergiej Kosmyrin (Francja) i Bruno Carabetta (Francja). **Waga 71 kg:** 1. Toshihiko Koga (Japonia), 2. Michael Swain (USA), 3. Chang-Su (KRLD) i Georgi Tena-dze (ZSRR). **Waga 78 kg:** 1. Byung Yu Kim (Korea Południowa), 2. Taisuto Moschida (Japonia), 3. WAL-DEMAR LEGIEN i Bashir Warajew (ZSRR). **Waga 86 kg:** 1. Fabien Canu (Francja), 2. Ben Spuykers (Holandia), 3. Axel Loebeinstein (NRD) i Stefan Fredenberg (RFN). **Waga 95 kg:** 1. Koba Kurtenidze (ZSRR), 2. Odvugin Baljuyunnan (Mongolia), 3. Robert van der Walle (Belgia) i Marc Melling (RFN). **Waga ponad 95 kg:** 1. Naoya Ogawa (Japonia), 2. Bnaco Moreno (Kuba), 3. RAFAL KUBACKI i Grigorij Wiericzew (ZSRR). **Waga open:** 1. Naoya Ogawa (Japonia), 2. Akakij Kibordzalidze (ZSRR), 3. Aleksander van der Groeben (RFN) i Kuu Soe (Korea Południowa).

Startowało 399 zawodniczek i zawodników z 61 krajów świata.

● JUDO ●

Shiro Saigo, jeden z pierwszych uczniów Jigoro Kano, był znany ze znakomitego wykonywania rzutu *yama arashi*. W dojo Kano uważano go również za najsukcesowniejszego zawodnika.

W tym okresie w dojo stołecznej policji ćwiczyło wielu bardzo znanych *Jujutsuka*, wśród których szczególnie wyróżniał się T. Terushima, uczeń jednej ze starych szkół *ju-jutsu*, wywodzących się z epoki Tokugawa. *Jujutsuka* z policyjnego dojo nie mieli zbyt dobrego mniemania o grupie młodziarzy skupionej wokół J. Kano. Chcąc udowodnić swą wyższość stale szukali konfrontacji.

Doszło do tego w maju 1885 roku. Terushima i Saigo stoczyli walkę w lokalu stołecznej policji w Kajibashi w Tokio. Saigo mówił do siebie: „Reputacja Kodokanu spoczywa na mnie, cokolwiek się stanie będę znany...”

Terushima był pewny swego: „Jak on może myśleć o walce ze mną, brak mu doświadczenia, a poza tym jestem przecież dużo cięższy i silniejszy”.

Saigo oczekiwał przeciwnika na środku pola walki. Terushima zatrzymał się przed Saigo, aby chwycić go za prawy rękaw. W tym momencie Saigo chwycił silnie prawy rękaw przeciwnika lewą ręką, a prawą prawy kotłierz od wewnątrz i w ten sposób był przygotowany do wykonania swego ulubionego *yama-arashi*.

Terushima kontroluje próbując skontrolować przez *ura-nage*, obchwytną ramionami szczupłe ciało Saigo, lecz ten z ogromną szybkością wykonuje unik. Próbuje więc ataku rzutem przez biodro, którego Saigo unika z łatwością, ciągnąc jednocześnie prawy re-

KOT



dobnie jak Yokoyama. Obaj byli uczniami Inoue, który prowadził dojo szkoły Tenshinshinyo w Tenjushiba. Zazdrościli Kano, który stawiał pierwsze kroki, uczniów coraz liczniejszych w Kodokanie. Teraz więc, aby wykazać swą wyższość, zaproponowali rozegranie z nim meczu. Sprowokowany

I DEMON

kaw Terushimy, co spowodowało zachwianie równowagi wielkiego *Jujutsuka*.

Judoka Kodokanu słusznie przewidzieli – to będzie *yama-arashi*. Chwilę później, dokładnie tak jak oczekiwano, Saigo zrobił obrót i tak jak wycina się zle posadzone drzewo skosił prawą nogą swego przeciwnika. „Wiatr schodzący z gór” – tak jest dosłowne tłumaczenie słów „*yama-arashi*” i dobrze one oddają charakter wykonywania tej techniki.

Nie przebrzmiał jeszcze gardłowaty okrzyk wydany przez Saigo w momencie ataku nogą, gdy wielkie ciało Terushimy przeleciało nad głową Saigo, padając przed nim na *tatami*.

To była pierwsza ze słynnych walk Shiro Saigo. Umarł on młodo, promowany w dniu śmierci na stopień 6 dan (wówczas najwyższy). J. Kano wypisując osobliście ten dyplom napisał między innymi: „...współpracował ze mną w moich studiach nad judo i zgłębił sekrety nage waza (rzutów). W większości swych ulubionych technik nie miał sobie równych wśród ponad dziesięciu tysięcy uczniów”.

Saigo uzyskał przydomek „*Neko*” (kot), ponieważ będąc rzuconym padał zawsze na ręce i nogi, co uniemożliwiało przeciwnikowi uzyskanie *ipponu* w walce. Umiejętność ta była rezultatem jego specjalnych ćwiczeń podejmowanych po obserwacji kota, który rzucony z wysokości pada zawsze na cztery łapy. Znakomita technika, zdecydowanie oraz zwinność – oto zasadnicze cechy tego niezwykłego judoki. Przypomnijmy więc jeszcze jedną prawdziwą historię.

Pewnego dnia Kodokan, którego dojo mieściło się wówczas w Kaminibanchō, odwiedziło dwóch młodych ludzi. Jeden był silnie zbudowany, miał muskularne ramiona, twardą twarz i nosił hakama. Jego towarzysz przypominał kolosa. Obaj mieli dobrą postawę i śmiało spojrzeli. Zatrzymali się w drzwiach Kodokanu, prosząc silnym głosem o zgodę na wejście.

Pierwszym z wchodzących był Sakujiro Yokoyama, później nazwany „*demonem*”, ze względu na swą siłę. Jego towarzyszem był Takisaburo Tobari, który w końcu swego życia uzyskał 8 dan, po-

Kano polecił Saigo walczyć z przybytymi. Saigo był małego wzrostu i ważył jedynie 59 kg, lecz jak wspominałem wcześniej w dojo Kano nie miał sobie równych w ataku i obronie.

Yokoyama nie mógł poradzić Saigo. W walce z pozycji stojącej był kilkakrotnie atakowany przez *yama arashi* i wprawdzie unikał rzutu, to jednak nie mógł ani go skontrolować ani samemu zastosować skutecznego ataku przeciwko człowiekowi obdarzonemu nieprawdopodobnym refleksem. Podobnie przebiegała walka z Tobari i w rezultacie obaj goście przegrali swoje walki na skutek przewagi Saigo.

Pod wrażeniem niezwyklej zreczności swego przeciwnika Yokoyama i Tobari zwrócili się do Kano z prośbą o przyjęcie do Kodokanu. Yokoyama stał się w dojo Kodokanu przykładem pracy. Ćwiczył od świtu do zmroku. Jeżeli nie miał partnerów do randorl wzmacniał swe ręce ćwiczeniami z żelaznym pretem 22-kilogramowym. Wykonywał nim każdego dnia po 500-600 powtórzeń specjalnie dobranych ćwiczeń. Dzięki tak wytrwałym ćwiczeniom Yokoyama stał się wspólnie z Saigo głównym filarem dojo Kodokanu.

Warto przypomnieć, że Shiro Saigo jest głównym bohaterem bardzo popularnej pięciotomowej powieści „*Sugata Sanshiro*”, na podstawie której trzykrotnie nakręcone zostały pełnometrażowe filmy fabularne.

JANUSZ PAWLUK
Rysował ANDRZEJ PELLER

„Wielka fala morska zalewająca wybrzeże” – tak dosłownie powinno się tłumaczyć „tsunami”. Obrazowo określamy zwrot jako „wielka powracająca fala”

Trochę wiadomości

Tsunami to współczesna nazwa unikalnego systemu psychicznego i fizycznego doskonalenia się. Jego celem jest podniesienie i utrzymywanie możliwie najpełniejszego stanu zdrowia psychicznego i fizycznego. System ten stworzył Bodhidharma w chińskim klasztorze Shaolin w 520 roku. Doskonalenie się według tej metody polega na stopniowym zbliżaniu się do dwóch stanów psychologicznych: „bodai” i „nehan”.

„Bodai”, czyli harmonia psychiki z ciałem, to stan w którym istnieje zgodność dążeń i działań psychiki oraz ciała. Ciało wykonuje wówczas ściśle polecenia umysłu, który całkowicie kontroluje jego zachowanie. Z kolei kontrola zachowania się ciała umożliwia rozwój umiejętności kontroli pracy swego umysłu. W rezultacie stan „bodai” polega na wzajemnie dopełniającej się kontroli zachowania ciała i pracy umysłu.

„Nehan”, czyli stan harmonii z otoczeniem, polega na życiu w zgodzie z biologicznymi i fizycznymi prawami natury, stosowaniu się do porządku społecznego oraz zaspokajaniu swoich potrzeb w zgodzie z potrzebami innych.

Działalność ludzka nie może być walką z naturą i jej prawami, lecz właściwym ich wykorzystywaniem. Człowiek, który usiłuje za wszelką cenę przekształcić naturę – poniesie klęskę. Pożądane efekty osiągnie tylko wtedy, gdy zrozumie jej prawa i przystosuje się do nich.

Środkami doskonalenia się, które pozwalają zbliżyć się do powyższych celów są stosowane równocześnie i w jednakowych proporcjach: zen i karate-do.

Zen (z japońskiego „medytacja”) to psychiczny aspekt doskonalenia się. Zogniskowana została w nim myśl czterech wielkich wschodnich systemów religijno-filozoficznych: yoga, buddyzmu, taoizmu i konfucjonizmu, uzupełniona rozwiązaniami niektórych systemów zachodnich i poparta dotychczasowymi osiągnięciami nauki.

Karate-do (z japońskiego „droga pustej ręki”) to fizyczny aspekt doskonalenia się. Oparty on jest na wszechstronnym wykorzystaniu dalekowschodniej sztuki walki wręcz – karate. Rozwija samodyscyplinę oraz pogłębia zrozumienie wartości życia i zdrowia człowieka.

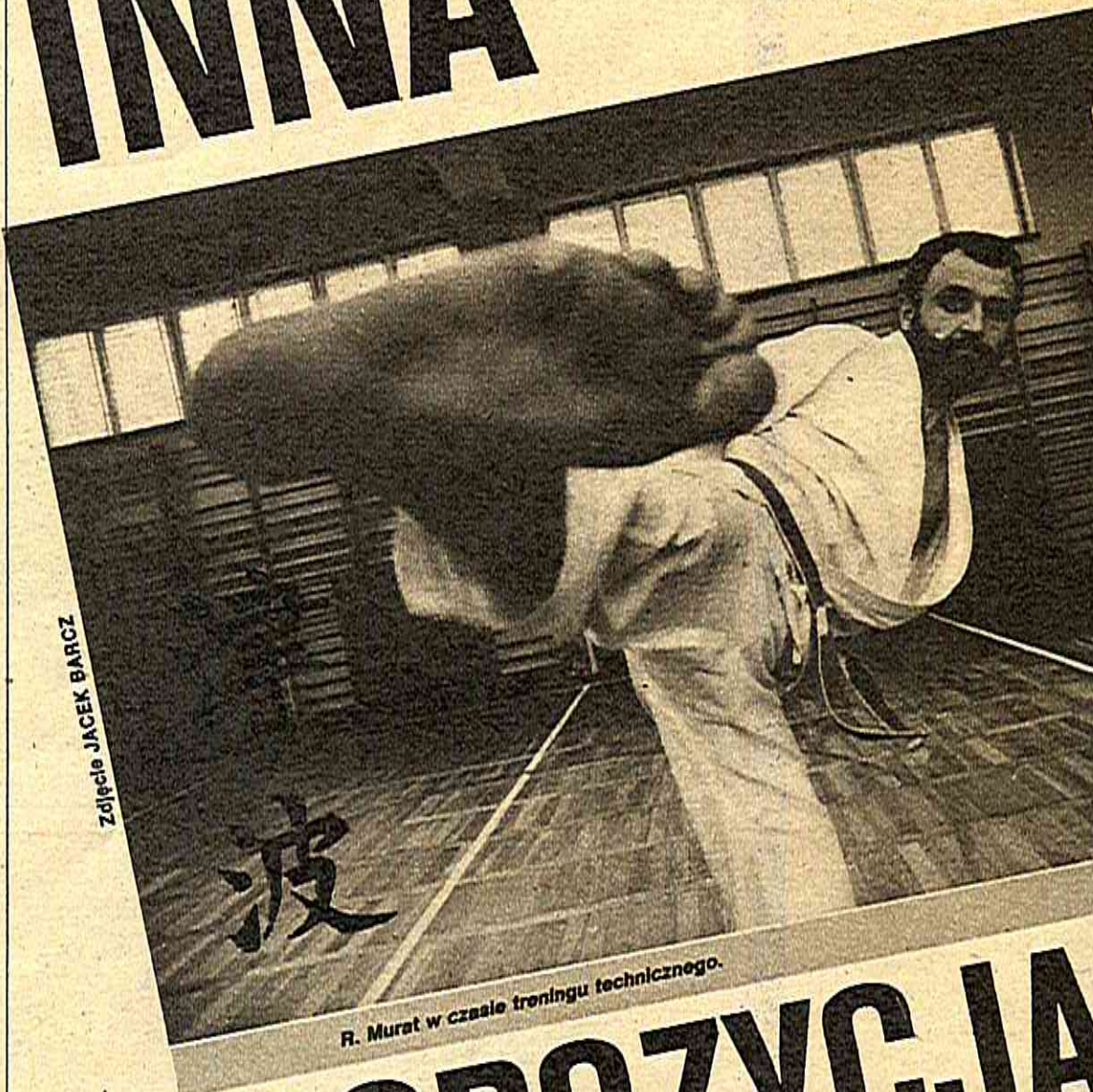
Na treningach tsunami w jednakowym stopniu stosowane są zarówno ćwiczenia fizyczne (karate-do), jak i psychiczne (zen). Taka właśnie forma zajęć jest rozwiązaniem unikalnym, ponieważ nie występuje w żadnym innym systemie.

Rozwiązania

Bardzo ważną zasadą tsunami jest jednakowe traktowanie wszystkich stylów. Uprawianie bowiem tylko jednego stylu prowadzi do rozwoju niebezpiecznego fanatyzmu oraz tendencji do zwalczania innych szkół. Dlatego tsunami proponuje uprawianie wszystkich stylów poprzez wszechstronną analizę i porównywanie ich dorobku.

Istotną charakterystyką tsunami jest odrzucenie panującego w wielu stylach „kultu mistrzów”. Polega on na narzucaniu przez mistrzów swych poglądów ćwiczącym, co pozwala mu manipulować nimi, a szczególnie za pomocą tak zwanego nadawania stopni na osiąganie rozmaitych korzyści, w tym przede wszystkim materialnych. W tsunami wszystkie stopnie (tak szkoleniowe, jak i mistrzowskie) nie są „nadawane” przez jedną

INNA



zdjęcie JACEK BARCZ

R. Murat w czasie treningu technicznego.

PROPOZYCJA

osobę, lecz „zdobywana” w drodze pracy i doskonalenia się, których efekty badane są w trakcie komisyjnych egzaminów.

Wielką uwagę przywiązuje się w tym systemie do rozwoju intelektualnego. Służą do

tego zajęcia teoretyczne. W klubach tsunami po każdym treningu trwającym około półtorej godziny, obowiązkowo prowadzone są półgodzinne zajęcia teoretyczne.

Trzeba podkreślić wielkie przywiązanie

Tsunami odrzuca dążenie do sukcesów sportowych, rezygnując z organizacji zawodów oraz udziału w nich swoich przedstawicieli. W systemie tym uważa się, że rywalizacja na zawodach jest rozwiązaniem sztucznym, całkowicie sprzecznym z ideałami tatem, całkowicie sprzecznym z ideałami tatem. Uznaje, że rozwija ona sensowną agresywność i wywołuje różnego rodzaju frustracje.

W Polsce system tsunami uprawiany w 40. ośrodkach. Wśród nich największe znaczenie posiada ośrodek warszawski, który z 9 klubów. Ogół klubów tsunami, „Renmei”, zrzeszony jest w Polskiej Federacji Dalekowschodnich Sztuk Walki. Najwyższym organem władzy w tsunami „Yudansha” (Rada Delegatów Klubów), istniejąca w razie potrzeby na obrady. Wykonywaniem uchwał „Yudansha” zajmują „Honbu” (Komitet Wykonawczy), wybierani na okres jednego roku. Na jego czele prezes, upoważniony do reprezentowania „Renmei” na zewnątrz. Aktualnie funkcję pełni Ryszard Murat, który jest równocześnie prezesem Polskiej Federacji Dalekowschodnich Sztuk Walki.

PIOTR LAE



Ćwiczenia medytacyjne w trakcie treningu

Ambroszkiewicz, Piotr Czapla, Artur Hessel, Andrzej Kustos, Zbigniew Misiak i Andrzej Siewłowicz rozpoczęła występy przed holenderską publicznością mocnym uderzeniem. W pierwszym meczu ich wyższość uznać musieli Francuzi, ubiegłorocznymi mistrzami starego kontynentu. W drugim pokonali Szwajcarów, w trzecim Belgię. Spotkanie o finał to porażka z kendokami szwedzkimi. Ale i tak sukces ogromny. Trzecie miejsce w Europie wywalczyli zawodnicy spełniający wszelkie wymogi potrzebne do osiągnięcia statusu stuprocentowego amatora.

Uprawianie kendo wymaga od ćwiczących ogromnej siły woli, żelaznej odporności psychologicznej i... cierpliwości. Szczególnie w naszych warunkach. Imponujące stroje i wzbudzający szacunek sprzęt to przeważnie dary Japończyków litujących się nad współbraćmi po samurajskim, ćwiczebnym mieczu. Zgrupowania przed prestiżowymi startami to głównie soboty i niedziele. Większości polskich kendoków nie stać na absencję w miejscu pracy. Wolne dni muszą „oszczędzać”, by móc jeździć, startować czyli po prostu istnieć w dość hermetycznym światku swojej dyscypliny. A do podróży, biletów, hoteli dokładają z własnej kieszeni. Owszem, COS zadba o wize i paszporty, ale cała reszta to już trudy podobne do tych z walki na miecze. Co więc trzyma ludzi przy tak mało intratnym sporcie?

Kolarze pedałują z myślą o grupach zawodowych, piłkarze kopią piłkę myśląc o grze w renomowanych klubach, a tu? Uporczywa walka o salę, o własny kąt i odrobinę życzliwości. Nagrodą za to wszystko jest przede wszystkim satysfakcja płynąca ze świadomości opanowania szalonej trudnej sztuki walki i mozolne pokonywanie przeszkód. Może właśnie dzięki temu kendocy zaprawieni w bojach na wszelkich możliwych frontach dysponują taką odpornością i godnym pozazdroszczenia samozaparciem.

Start w amsterdamskich mistrzostwach miał też i inny, rzecz można, pozasportowy wymiar. Otóż, jak twierdzi Artur Hessel, notabene były szablista Cracovii, po raz pierwszy w historii polskiego kendo wszyscy dotarli na czas i bez większych perturbacji. Dla nich to już był sukces! Artur Hessel twierdzi, iż współczesne kendo ma wiele wspólnych cech z sztuką władania szpadą czy szablą. W końcu używany obecnie miecz spełnia podobną rolę do floretu, także będącego bronią treningową, ćwiczebną. Spore podobieństwa w przygotowaniu psychicznym, w taktycznym sposobie prowadzenia walki. Doszukać się więc można swego rodzaju styku szermierczych kultur. Drugie miejsce w międzynarodowych mistrzostwach Węgier, również drugie miejsce w Pucharze Zurichu, wreszcie brąz zdobyty w Holandii. To dobre symp-



Polska reprezentacja kendoków. Od lewej: Andrzej Kustos, Piotr Czapla, Zbigniew Misiak, Artur Hessel, Andrzej Siewłowicz



DAR JAPONII

● KENDO ●

tomy i gwarancja tego, że polskie kendo jest na początku właściwie obranej drogi. Wizyty panów Takao Mizushimy, Mitsuki Yagi i Ando Kozo w naszym kraju trafiły na podatny grunt. Nauczyciele z dalekiej Japonii przekonali się, że polski ogień nie zawsze bywa słomiany. Dziś trudno powiedzieć, jak dalek potoczą się losy rodzimego kendo, trudno bez obaw myśleć w ogóle o przyszłości naszego sportu.

A jednak gdy mowa o podopiecznych Andrzeja Kustosza trzeba być umiarko-

wanym optymistą. To ludzie zaprawieni w bojach. I dlatego musimy wierzyć, że już w niedalekiej przyszłości zawodnicy dzierżący oburącz miecze i wydający gromkie okrzyki w czasie prawidłowego trafienia staną się etatowymi dostawcami medali zdobywanymi podczas międzynarodowych turniejów. Pod jednym tylko warunkiem. Takim mianowicie, że nikt nie będzie im przeszkadzał, bo w pomoc przestali już raczej wierzyć.

JAN TRAWIŃSKI



Kendocy w rynsztunku wyglądają groźnie.

Zdjęcia SYLWESTER MORAWSKI



TAEKWONDO



Prezydent Cloesen był już w Puławach, gdzie w klubie Wisła trenuje Adam Krysz, na zdjęciu po lewej.
Zdjęcie LESZEK GOTTMAN

NIEGROŹNY KANDYDAT

– Niedawno objął pan funkcję prezydenta ETU. Czy jest to pana debiut w roli działacza?

– Nie, już w 1974 roku poproszono mnie, abym został sekretarzem generalnym Belgijskiej Unii Taekwondo. To były wspaniałe czasy. Wtedy jeszcze proszono, aby ktoś chciał obejmować stanowiska tego typu! Po pięciu latach wybrano mnie prezydentem Belgijskiej Unii Taekwondo, będącej areną ścierających się interesów trzech grup narodowościowych: flamandzkiej, niemieckiej i francuskiej, z których każda posiadała własne ministerstwo sportu i własny związek taekwondo. Jest jeszcze Narodowy Komitet Sportu. Co trzy lata przedstawiciel kolejnej grupy narodowościowej zostaje prezydentem unii belgijskiej. Miałem szczęście piastować tę funkcję dwukrotnie. Tamte lata były mi solidne przygotowanie do obecnej pracy. Powierzone mi obowiązki

są zbliżone do dawnych, tylko krajów jest trochę więcej.

– Nikt nie brał poważnie pana kandydatury w wyborach w 1988 roku. Sądzone, że w ETU nic się specjalnie nie zmieni.

– Nikt, oprócz mnie w to nie wierzył! Znam historię ETU i jej politykę od 1978 roku. Początkowo pracowała ona wspaniale, aż nagle wszystko się popsuło. Przykładowo, mniej niż połowa krajów europejskich należy do ETU. I tak Polska długo nie była zaliczona w poczet członków ETU tylko ze względu na brak opłaty członkowskiej. Drugi problem to oderwanie ETU od WTF (Światowej Federacji Taekwondo) powodujące tak duże komplikacje, jak pewno zmiany w przepisach walki sportowej. W konsekwencji mogło dojść do wyodrębnienia nowego stylu walki w Europie.

Co prawda nie byłem groźnym konkandydatem dla starego „zespołu” ETU, ale okazało się, że wielu przedstawicieli innych krajów myśli podobnie jak ja i wybrali mnie... głosując przeciw innym kandydatom! Teraz oczekuje

mnie ciężka praca, aby udowodnić że wybór był dobry.

– Co zatem chce pan zmienić w polityce ETU?

– Jedną z najważniejszych spraw jest choćby zarejestrowanie Polski, pierwszego kraju socjalistycznego w ETU i jej udział w najbliższych mistrzostwach Europy. Spodziewam się, że później inne kraje, których nie stać na opłatę członkowską, również przyjmie pod skrzydła ETU.

– Czy w galimatiasie spraw i problemów oraz interesów poszczególnych narodowych federacji bierze pan pod uwagę również kwestię ITF (Międzynarodowej Federacji Taekwondo) i możliwość połączenia jej z WTF?

– Uważam, że zawody rozgrywane w systemach WTF i ITF są tak różne, że nie można mówić o wspólnocie interesów i ich połączeniu tak jak nie można łączyć normalnej piłki nożnej z piłką nożną rozgrywaną w hali. Obie nasze organizacje mają w nazwie taekwondo, ale obecnie są to dwie różne dyscypliny. Wiem, że niektóre kraje próbują u siebie łączyć te dwie federacje, ale wynika z tego więcej problemów niż korzyści. Za WTF przemawia większe uznanie międzynarodowe, uczestnictwo w igrzyskach olimpijskich, igrzyskach światowych oraz igrzyskach kontynentalnych. Moim zdaniem WTF ma lepszą przyszłość.

– Mam rozumieć, że uważa pan pełny awans olimpijski taekwondo za możliwy?

– Chyba wszyscy na to liczymy. Mamy dwie wielkie szanse. Po pierwsze – prezydent WTF dr Un Young Kim został przez światową prasę sportową uznany za drugą po Samaranchu osobistość międzynarodowego ruchu olimpijskiego. Po wtóre – następne igrzyska odbędą się w Hiszpanii, gdzie taekwondo jest sportem ogromnie popularnym, uprawianym przez 150 tysięcy ludzi. Jako ciekawostkę podam, że sponsorem Hiszpańskiej Federacji Taekwondo jest hiszpańska telewizja. Wiele okoliczności sprzyja więc, aby nasz sport w przyszłości został wpisany do olimpijskiego kalendarza.

– Podczas telewizyjnej transmisji z olimpiady w Seulu jeden z polskich sprawozdawców wskazał na Un Yong Kima, prezydenta WTF, jako odpowiedzialnego za ekscytację na bokserskim ringu. Czy miał rację?

– To jakaś pomyłka. Dr Un Young Kim pełnił funkcję wiceprezydenta komitetu organizacyjnego igrzysk i był chyba jednym z najbardziej zafrapowanych ludzi w trakcie olimpiady. On nie znał nawet dokładnie przebiegu turnieju taekwondo, a cóż dopiero bokserskiego. Przypuszczam, że nie był wtedy obecny w sali bokserskiej, pamiętam spotkaliśmy się tego dnia podczas obiadu i nic nie wspominał na temat boksu. Sądzę, że wasz dziennikarz się pomylił, bo przecież Kim jest najpopularniejszym nazwiskiem w Korei.

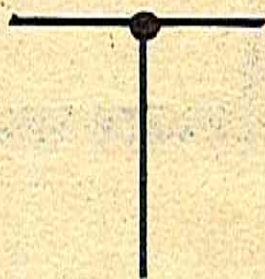
– Poproszę o szczerą opinię. Co pan sądzi o taekwondo w Polsce?

– Mam nadzieję, że wkrótce ponownie odwiedzę Polskę. Poprzednia wizyta dostarczyła mi wspaniałych wrażeń. Liczę, że taekwondo w Polsce, a także w Belgii, uzyska dość szybko sporą popularność.

• Rozmowę przeprowadzono przed decyzją nowego zarządu ETU o przyjęciu Polski w poczet jej członków.

KARATE KATA

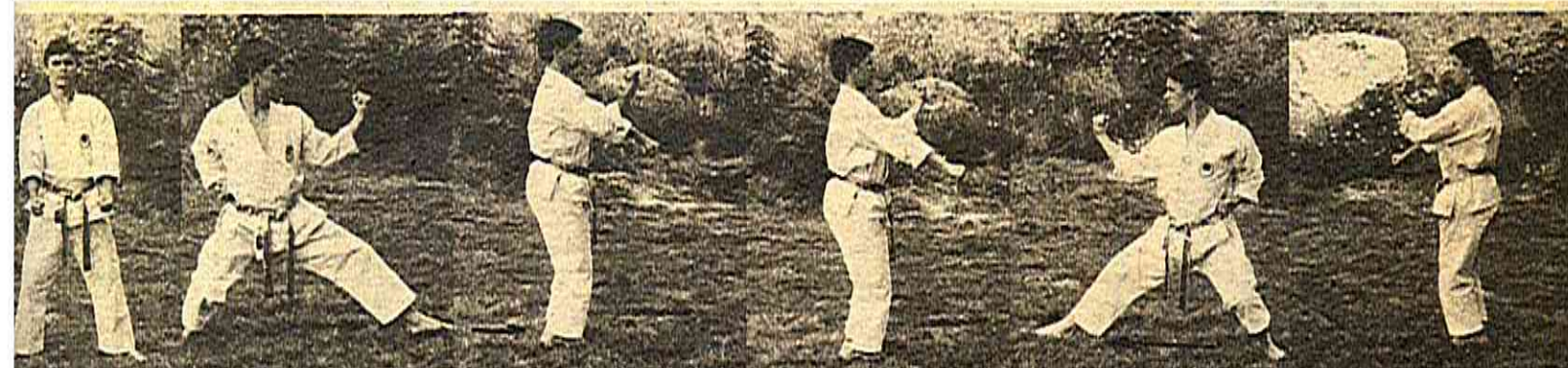
HEIAN SANDAN



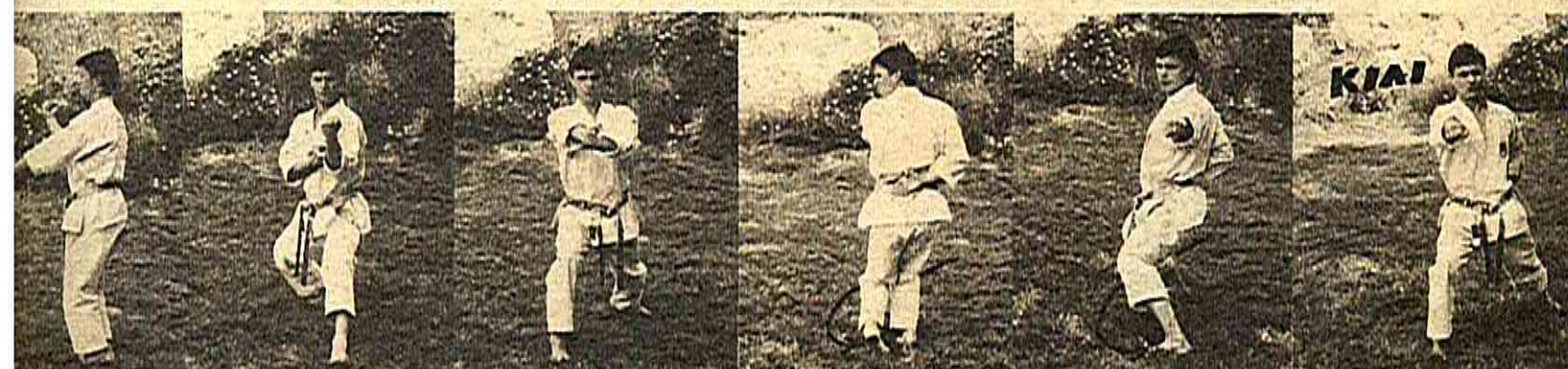
ENBUSEN

- 1. Yo!, 2. Kokutsu dachi hidari chudan uchi uke, 3. Heisoku dachi kosa uke, 4. Heisoku dachi kosa uke, 5. Kokutsu dachi migi chudan uchi uke, 6. Heisoku dachi kosa uke, 7. Heisoku dachi kosa uke, 8. Kokutsu dachi hidari chudan morote uke, 9. Zenkutsu dachi migi chudan shihon nukite, 10. Obrót przez lewe ramię do tyłu, 11. Kiba dachi hidari chudan tettui uchi, 12. Zenkutsu dachi migi chudan oi zuki, 13. Heisoku dachi ryoken koshi gamae, 14. Fumikomi, 15. Kiba dachi migi enpi uke, 16. Kiba dachi migi jodan uraken uchi, 17. Hidari fumikomi, 18. Kiba dachi hidari enpi uke, 19. Kiba dachi hidari jodan uraken uchi, 20. Mig fumi-komi, 21. Kiba dachi migi enpi uke, 22. Kiba dachi migi jodan uraken uchi, 23. Kiba dachi migi chudan tate shuto uke, 24. Zenkut-

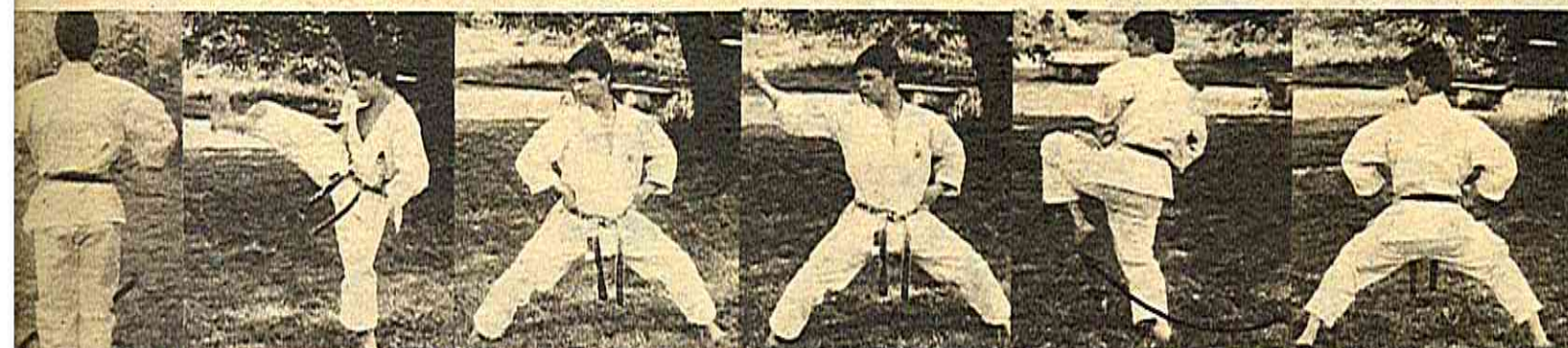
Demonstruje WŁODZIMIERZ KWIECIŃSKI (4 dan)



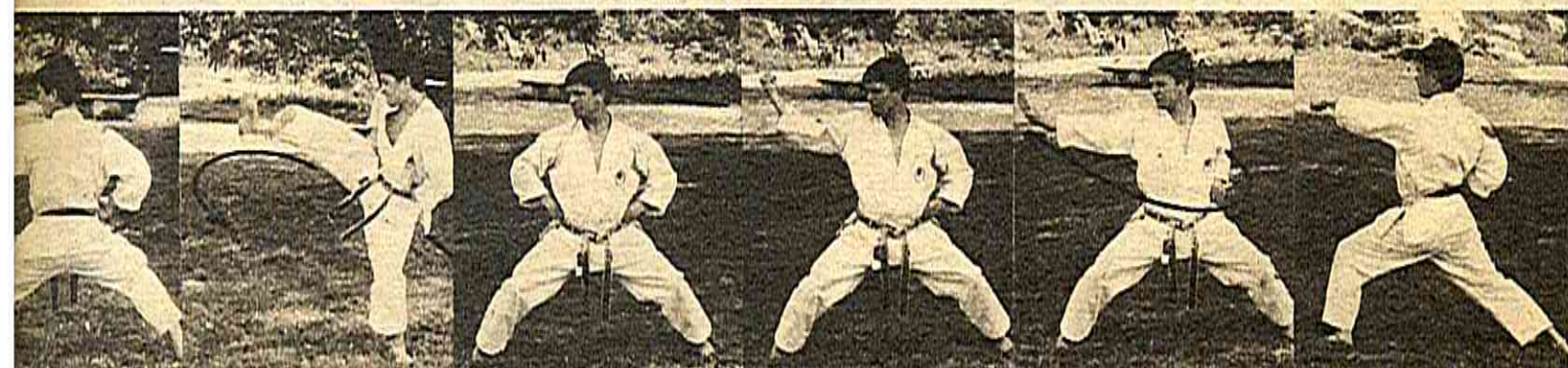
1 2 3 4 5



7 8 9 10 11



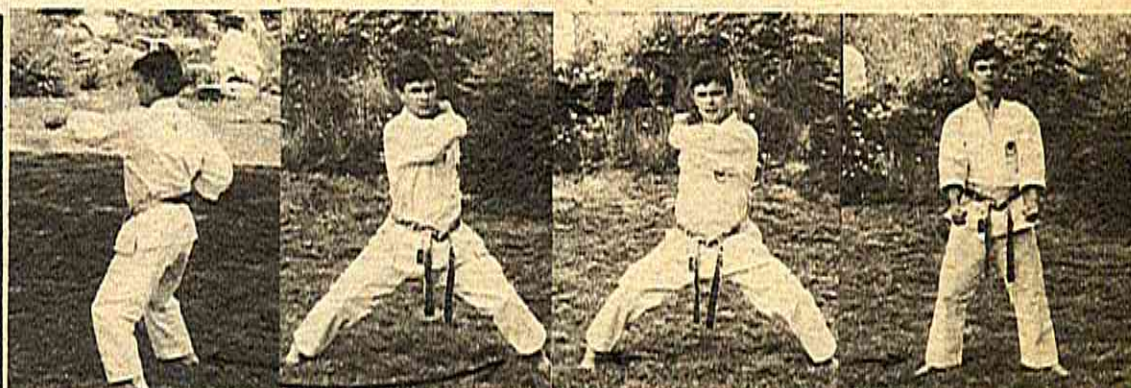
13 14 15 16 17



19 20 21 22 23

su dachi hidari chudan oi
zuki, 25. Przejście prawą
nogą do lewej, 26. Kiba da-
chi migi tate zuki hidari
enpi, 27. Kiba dachi hidari
tate zuki migi enpi, 28.
Yame.

Zdjęcia
KAZIMIERZ ŁASKOWICZ



25 26 27 28



Zdjęcie BOŻENNA TEDDER

Ochraniacze: rzecz dobra czy zła?

gólnie obcy naszej etyce, charakterowi. Lecz we współczesnym sporcie zdarzały się już-tak wielkie „wpadki”, że i my chcemy być ostrożniejsi. Pragniemy zapobiec temu zjawisku, chociaż kto wie, czy doping nie jest już dobrze znany karatekom. Obserwując zawody międzynarodowe zauważyłem, że niektórzy zawodnicy zachowują się – określiłbym to „podejrzanie”. Już na mistrzostwach świata w Maastricht w 1984 roku przeprowadzono wyrwkowe badania. U nas w Szwecji również pobieramy przy okazji turniejów próbki do badań. Jak na razie nie było afery. Mimo to naciskamy w komisji EKU, żeby mistrzostwom świata towarzyszyła stała kontrola antydopingowa.”

Higiena

„Pewnie to pana zaskoczy, ale niepokoję się warunkami higienicznymi wielu turniejów w karate. O tym problemie alarmuje EKU. Ubiegłoroczne mistrzostwa świata w Kairze rozgrywane w przerażających warunkach. Ponad tysiąc startujących, wszyscy w jednej sali. Kilka zapchanych toalet. Jednym słowem – poniżej krytyki. Jak można zapobiegać chorobom, jeśli warunki sanitarne są skandaliczne. Z tymi problemami często się spotykamy na zawodach, ale to sprawy się bagatelizuje, o tym się prawie nie mówi”.

Ochraniacze

„Bardzo dużo namiętnych dyskusji w komisji lekarskiej wywołuje sprawa ochraniaczy. Kwestia zawsze aktualna nie tylko wśród lekarzy: używać ochraniaczy, czy nie używać? A jeśli już – to jakie? Na niedawnych mistrzostwach walczący wystąpili nawet w maskach na twarzy. Specjalna komisja miała przygotować specjalny materiał do analiz. Według mojej oceny większość członków komisji jest przeciwna używaniu ochraniaczy. Panuje tendencja, aby w jak najmniejszym stopniu korzystać z ich dobrodziejstwa. Jak wygląda to w Szwecji? Mamy intencję, żeby stosowano ochraniacze na pięści, pole-

camy suspensoria i ochraniacze na zęby, w przypadku kobiet – także na piersi. Na razie według przepisów wymagane są tylko „napiętniki”, na pięści, ale to się zmieni. Nie jestem zwolennikiem nadmiernego ubierania karateki w sprzęt ochronny. Wymienione osłony uważam jednak za niezbędne, at nie dopuścić do dużej urazowości w karate.

Ostatnio była w Szwecji ciekawa sesja lekarzy sportowych. Sformułowano tezę, że między innymi z powodu zbyt szerokiej gamy używanych ochraniaczy sport się nam brutalizuje. Podawano statystyki z wielu dyscyplin sportowych, z których wynikało, że używanie ochraniaczy spowodowało zmniejszenie liczby lekkich kontuzji, wzrosła natomiast ilość ciężkich. Czym spowodowane jest to niebezpieczne zjawisko? W praktyce walczący ludzie mając świadomość, że są lepiej zabezpieczeni, mniej uwagi poświęcają swojej ochronie. Taka reakcja jest szczególnie niepożądana w karate. Istotą treningu karate jest dążenie do pokonania siebie, do opanowania swego ciała, czyli osiągnięcia takiego stanu ducha, w którym drga harmonia i mądrości osiągamy najwyższą sprawność. Koordynacja ruchowa jest celem samym w sobie, liczy się umiejętność zadania ciosu, a nie jego siła. Stąd obawy, ubierając się w liczne ochraniacze, zadamy gwałt karateckiej etyce, wypaczymy psychikę”.

Materiał

„Oprócz kwestii w jakim zakresie używać ochraniaczy i tatami, nie mniej istotny jest również problem – z jakich materiałów wykonano to co powinno ochraniać. Często się zdarza, że ochraniacz nie spełnia swojej funkcji, a przeciwnie – z jego powodu bardzo łatwo o uraz. W 1986 roku, podczas mistrzostw w Australii, wywołano temat sprzętu. Dyskutowano o opracowaniu międzynarodowych norm dla ochraniaczy i karateckiego sprzętu. Ale wkrótce sprawa przycichła. Zamierzam do niej powrócić, bo problem to dość istotny. Wszelkie ważne, jaki materiał czy gruby czy cienki, szorstki, plastyczny. Mówi się „ochraniacze pięści” i już tutaj używamy złej nazwy. Przecież chodzi o ochronę tego, który został trafiony.

Niebezpieczeństwa

„W każdej dyscyplinie sportowej można wyróżnić okresy zwroju i zahamowań, które wymagają nowelizacji przepisów. Podobnie w karate WUKO. Jedną z najbardziej niebezpiecznych tendencji, jaką widzę na wielu zawodach, to przypat-

DRAŻNIENIE

W Szwecji wprowadzono zakaz zawodowego uprawiania boksu. Tamtejsze społeczeństwo niechętnym okiem spogląda na obazary działalności ludzkiej, które kojarzą się z brutalnością. Przez wiele lat nie akceptowano tam również karate i innych dalekowschodnich sportów walki. W licznych publikacjach i rozprawach wskazywano na wielką urazowość i zagrożenia społeczne, które niosą azjatyckie walki, może atrakcyjne dla skośnookich, ale nie do pogodzenia z charakterem spokojnych Szwedów. Nagonka jednak minęła. Pionierem karate udało się przemówić własnym głosem, przekonać, że ich działalność nie ma nic wspólnego z nauką prymitywnej bijatyki.

W dzisiejszej Szwecji funkcjonują liczne kluby karate, są sklepy ze specjalistycznym sprzętem. Szwedzi odnoszą sukcesy w rywalizacji sportowej, zdobyli podczas ostatnich mistrzostw Europy WUKO w Titogradzie, złoty medal w drużynowej rywalizacji w kumite. Lecz wyczyn nie zaślepił. Ze szczególną troską podchodzą do sprawy ochrony zdrowia na tatami.

Nic przeto dziwnego, że jedną z bardziej aktywnych osób w komisji medycznej Europejskiej Unii Karate jest szwedzki lekarz o swojsko brzmiącym nazwisku – **Dariusz Trojanowski**. Przed laty jego rodzice wyemigrowali z Polski, ale Dariusz studiował w gdańskiej Akademii Medycznej. Podczas studiów poznał również karate. Były to czasy, gdy karate dopiero raczkowało w Polsce. Wystarczyło, aby Trojanowski z pasją oddał się temu sportowi. Obecnie jest lekarzem szwedzkiej kadry karate i jednym z liderów europejskiej komisji. Podczas pobytu w Sztokholmie, wiosną tego roku, spotkałem się z Trojanowskim, który opowiedział o niektórych problemach karate, z punktu widzenia lekarza.

Doping

„Nikt nie wierzy w to, że doping mógłby trafić do karateckiego środowiska” – przyznał Trojanowski. „Jest on szcze-



Podczas ubiegłorocznych mistrzostw świata kobiety walczyły już w specjalnych maskach ochronnych. Na zdjęciu linat: Yoshimira (Japonia) z prawej i Flynn (Australia).

LWA

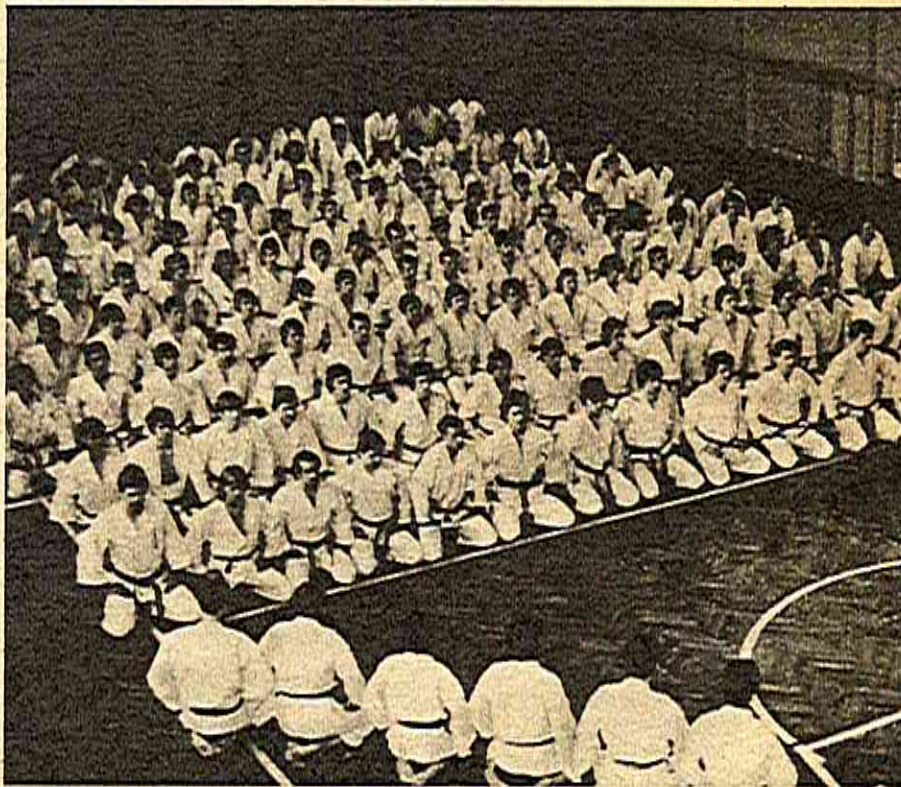
kladzenia się jednego z walczących. Upada niby po otrzymaniu ciosu, ale w rzeczywistości zamierza wymusić punkty. Wiem kto wypraktykował ten przebiegły sposób, ale stos się go coraz częściej. Sposób, nie dość, że nieetyczny, ciąż czasami skuteczny, przynosi dużo zła. Przypomina dźgnięcie lwa. Jeden z zawodników markuje, że otrzymuje ci upada, udaje. Drugi wie, że nie uderzył, ale przegrywa, zost doprowadzony do stanu rzeczywistej agresji. No i wtedy, panując nad sobą, uderzy tak, że lekarz jest naprawdę potrzebny”.

Mali i wielcy, silni i słabsi, sławni i nieznani – oto nasza zasada, według której prezentujemy w tym kąciku kluby i sekcje zajmujące się dalekowschodnimi sportami walki. Tym razem przedstawiamy polskie korzenie karate. Jeden z nich da się odszukać w Łodzi.

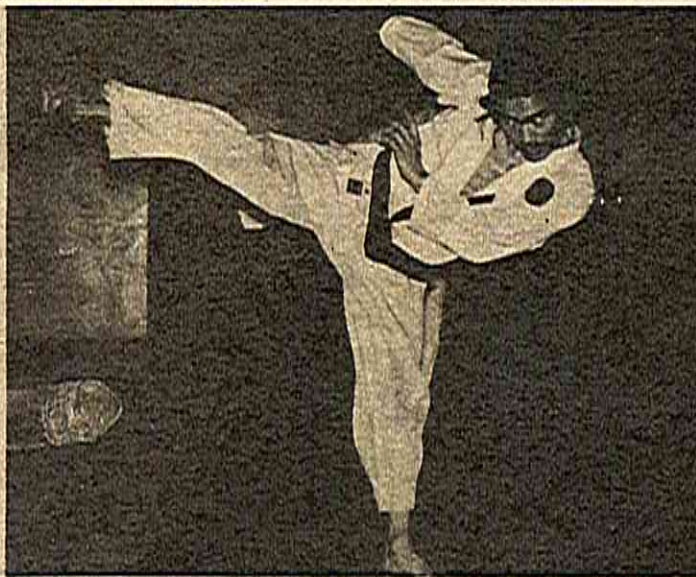
Zaczęło się od przypadku. Włodzimierz Kwieciński odkrył wraz z kolegami, że w Łodzi przebywa człowiek znający karate. Był rok 1972 i karate jawiło się jako coś egzotycznego, a nawet dziwaczkiego. Odkrycie łódzkich zapaleńców okazało się trafne. Rzeczywiście mieszkał czasowo w tym mieście obywatel japoński – Chiyamaro Shimoda, którego załascynował teatr Grotowski. Chcąc poznać naszą kulturę Japończyk uczył się w Łodzi języka polskiego. Chociaż posiadał już wysoki stopień mistrzowski – 3 dana, o karate na razie nie chciał słyszeć. W końcu uległ namowom. Tak rozpoczęła się historia łódzkiego karate.

W październiku minęło właśnie siedemnaście lat, gdy sport z Okinawy tra-

KORZENIE



Nasze dojo



Zdjęcie z lamusa. Shimoda Chiyamaro.

fił do sal miasta z łódką w herbie. Ten okres był tak bogaty w wydarzenia, że w krótkiej wizytówce można się postużyć jedynie telegraficznym skrótem. Warto więc przypomnieć, że pierwsza oficjalna sekcja karate została założona przy Wojskowej Akademii Medycznej. Natychmiast zdobyła wielką popularność. Shimoda, niestety musiał wracać do Japonii. Uczniowie radzili więc sobie sami. Nawiazali kontakty z karatekami szczecińskimi, wzięli udział w pierwszym, ogólnopolskim obozie w Mrzeżynie, z udziałem instruktorów z Czechosłowacji – Vilczkiem i Rahmą. Wkrótce, po intensywnym szkoleniu, wyłoniono także instruktorów z własnego grona. Kubiś, Gubiec, Grzesiak, Gralak, Popper – oto pionierska kadra szkoleniowa. A również ówczesna karatecka czołówka.

Wielkim wydarzeniem, niemal przełomem był kontakt z jugosłowiańskim mistrzem – Ilją Jorgą. Mało kto się spodziewał, że tamte nauki będą owocować współpracą, aż po dzisiejszy dzień. We wrześniu 1976 roku Włodzimierz

Kwieciński, po pierwszym pozytywnym egzaminie u Jorgi, otrzymał stopień mistrzowski. Karate, poznawane poprzez styl shotokan, robiło w Łodzi zawrotną karierę. Sekcja WAM przerodziła się w Łódzki Klub Karate, który był drugim tego typu, samodzielnym klubem w Polsce. Jego członkowie odnosili sukcesy w mistrzostwach kraju, coraz więcej łódzian zaczęło reprezentować Polskę w meczach międzypaństwowych i mistrzostwach kontynentu. Ośrodek rósł w siłę i chętnie odwiedzali go znani na świecie mistrzowie, choćby Hideo Ochi. Reprezentanci ŁKK rewanżowali się medalami. Dla przykładu podczas drugich mistrzostw Polski stylu shotokan złote medale wywalczyli: Kwieciński, Kubiś, Gubiec, Popper, zespół kumite drużynowego, kata drużynowe kobiet i mężczyzn.

W każdej historii dni piękne i słoneczne przeplatają się z burzliwymi. W październiku 1979 roku instruktorzy ŁKK nie mogli dojść do zgody, w następstwie czego doszło do rozłamu. Kilka miesięcy później przy Uniwersyte-

cie Łódzkim powstał Akademicki Klub Karate. Nowicjusz wykazywał dużo animuszu, rozwijał się energicznie. AKK stawili tacy karatecy jak Sławomir Jordan, Paweł Krzywański, Henryk Marucha, Andrzej Spanopulos, Zdzisław Popper i oczywiście Jadwiga Skurska.

„Karate posiada ogromne walory tak zewnętrzne, czysto fizyczne, jak i wewnętrzne, duchowe. Nie ma przesady w stwierdzeniu, że znaczna część jego popularności bierze się stąd, że właściwie rozumiane karate, to karate-do czyli pewna droga, sposób na życie. Karateka to ktoś, kto ma spójny świat wartości. Dla karateki samodyscyplina i samodoskonalenie stają się nieodłącznymi częściami życia. Można zdobywać medale sportowe i tytuły, można wspaniale opanować techniki karate. Nie znaczy to jednak, że już się jest karateką. Konieczny jest jeszcze właściwy rozwój psychiki. Karateką jest się tak samo w dojo, jak i w domu, w szkole, pracy itd”. – W ten sposób zachęcają do uprawiania karate w jednym ze swoich informa-

torów. Ale AKK nie potrzebuje już dzisiaj reklamy, nie rozwiesza plakatów terminami naborów. AKK jest w Łodzi klubem znanym i lubianym. Codziennie do jego małej siedziby w Śródmieściu zaglądają dziesiątki chłopców i dziewcząt, chętnych do ćwiczeń.

Obecnie w 11 sekcjach klubu, kierowanych przez tak wyśmienitych instruktorów jak Skurska, Miłkowska, Kwieciński, Krzywański, Spanopulos i inni, trenuje ponad 800 uczniów. AKK przypomina dobrze rozkręconą maszynę współpracującą z karatekami w RFN, NRD i ZSRR, organizuje kursy i egzamin szkoli swoich karateków na zgrupowaniach w kraju i zagranicą. Tradycyjnie zaprasza stawy z Jorgą na czele.

„Od czasów pana Shimody – twierdzą – dużo się zmieniło: treningi są regularne, a improwizację zastąpiła organizacja”. Od karateków AKK dużo dobrego mogą się nauczyć także sportowcy z wielu innych dyscyplin.



Michel Aerden (6 dan) z Belgii podczas stażu.

Zdjęcie Kazimierz Laskowski

Potęzną posturą budził strach. Przepowiadano mu wielką karierę. Oczekiwano, że będzie polskim mistrzem świata w karate WUKO. Oceniano, iż jeszcze w kraju nad Wisłą nie narodził się karateka o tak wspaniałych warunkach jak Waldemar Nogalski.

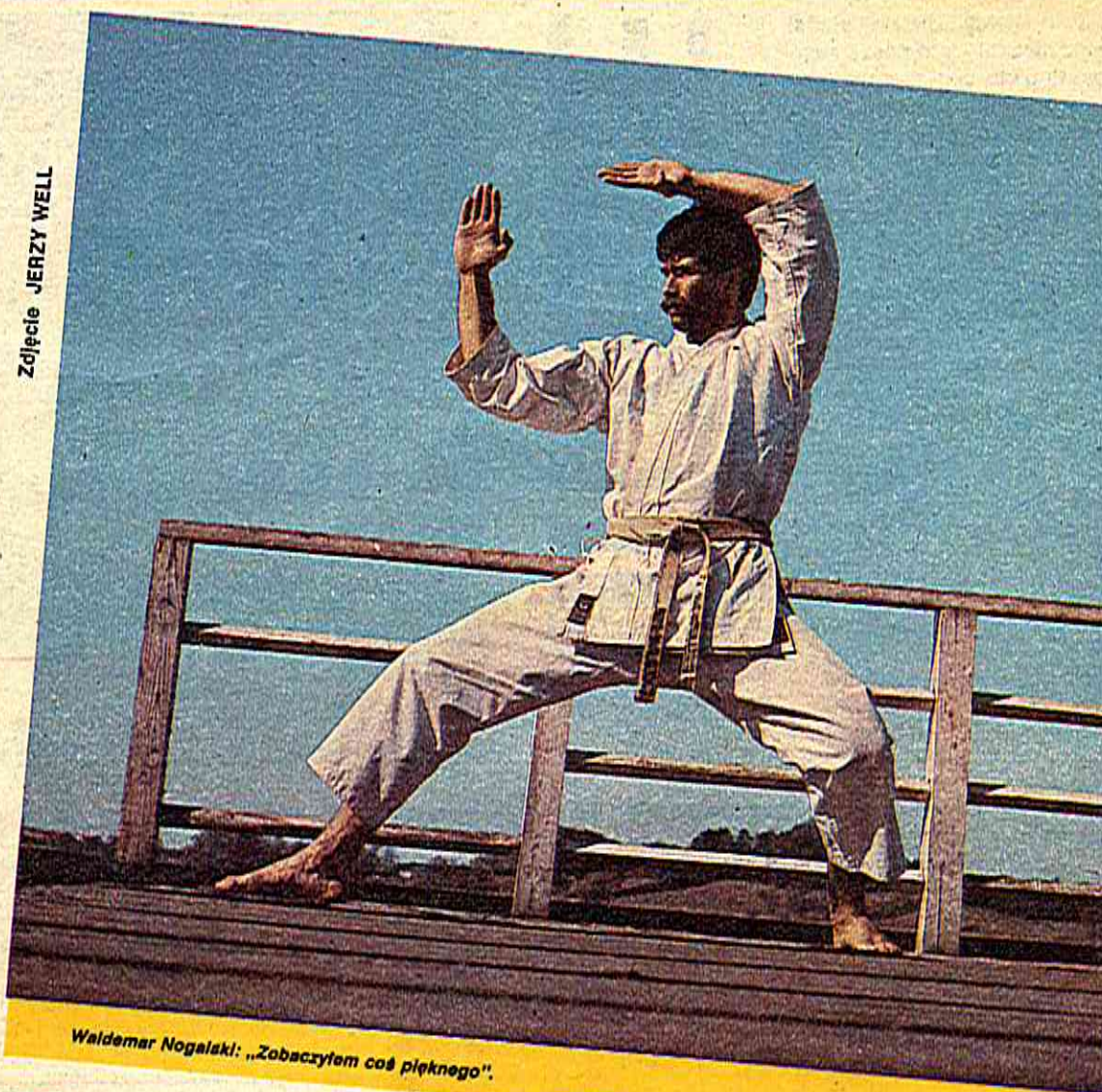
Biały pas

Gdy pierwszy raz przyszedł do sali i zobaczył karateków ćwiczących kata, zrozumiał że w jego życiu następuje właśnie przełom. Nie był już dzieckiem, którego fascynuje byle świąteczko. Lecz kata wywarło na nim ogromne wrażenie. „Zobaczyłem coś pięknego” – ocenia zwięźle.

W styczniu 1978 roku chcąc się zapisać do poznańskiej sekcji karate, należało czekać w kolejce jak na mieszkanie spółdzielcze. Nogalski wcale nie miał takiego zamiaru. Z ciekawości poszedł z kolegą popatrzeć na trening. I wtedy los, nie wiadomo dlaczego, się uśmiechnął. Trener Piotr Goszczyński od razu przyjął go do grupy.

Chyba każdy chłopak wyobraża sobie, że po tygodniu lachowych ćwiczeń będzie już pięknie kopał, poruszał się niczym Jackie Chan. Poznawanie technik walki przypomina dziką pazerność. Koledzy jakby w gorącej wodzie kąpani, z ogromnym entuzjazmem powtarzali gesty instruktora, uczyli się pośpiesznie, niczym wygłodzone wilki, które nie mogą się doczekać na kolejną ofiarę. Nogalski jakby wbrew powszechnej lo-

Zdjęcie JERZY WELL



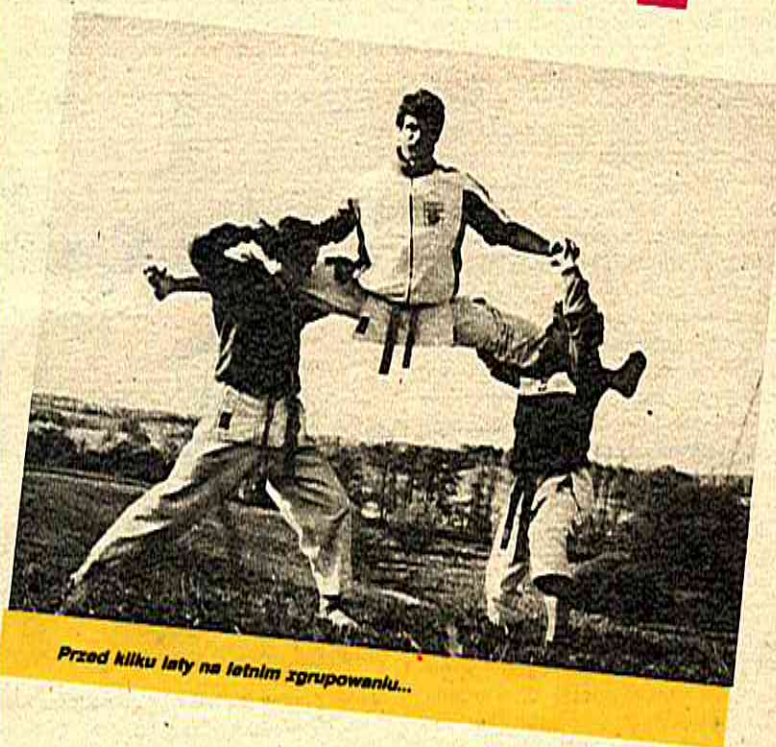
Waldemar Nogalski: „Zobaczyłem coś pięknego”.

SZPAGAT

glico, przyjął inny tok postępowania. Każdą poznaną technikę wielokrotnie powtarzał, cierpliwie dopracowywał, jakby wkuwał na blachę nie śpiesząc się zbyt do zaglądania w nowe zakamarki karate.

Na dodatek ubzdurał sobie, że ze wszystkich pasów najpiękniejszą barwę ma ten w kolorze białym. Kiedy zdobył ten pas, znów się nie śpieszył, aby ubiegać się o wyższe zaszczyty. Dużo już umiał, wiele potrafił, lecz z białym pasem nie chciał się rozstać. Gdyby nie trenerzy i ich presja, chyba do końca karateckiej przygody nie zamieniłby koloru białego na inny. Po kilku latach zdobył stopień mistrzowski i prawo noszenia pasa czarnego. Lecz pokazując z satysfakcją, że czern z oryginalnego japońskiego produktu po wielokrotnym użyciu ustąpiła bieli i dziś zakłada pas prawie taki, o jakim zawsze marzył...

W pierwszym okresie było w dojo jeszcze coś, czego inni nie rozumieli. Koledzy fascynowali się techniką, a Nogalski interesował się nie tyle tajemniczym sposobem ruchów rąk i nóg, co prostym ćwiczeniem gimnastycznym – szpagatem. Postanowił, że po miesiącu mordęgi wykona najprawdziwszy na



Przed kilku laty na letnim zgrupowaniu...

świecie szpagat. Namówił go do tego kolega Paweł. Paweł często stał z nim i powtarzał: „jeszcze, jeszcze Waldek „rozciągał się” codziennie dziesięć albo i półtorej i nie było to zajęciem łatwym, bo kości liczyły 19 lat. „Przeżyłem katusze, ale muszę przyznać, tym sposobem dorobiłem właściwie klucza. Później każde ćwiczenie było mnie postką. Nóg mogłem już pnieść na każdą wysokość – ocenia galski. Dodaje też, że ćwiczył dużo, mocno. Najpierw trzy razy w tygodniu po półtorej godziny. Potem codziennie Rano – w domu, po południu – w Wieczorem dorzucał kolejne trzy razy ćwiczeń.

W sztosie

„Przyszły takie dwa lata, że byłem prawdę w wielkim sztosie. W turnieju, poznańskiej Aronii wygrywałem i czyłem na równi z mistrzami świata medalistami. Wtedy, a były to lata 82–83, czułem że mogłem osiągnąć coś rzeczywiście wielkiego. Ale wstała głupia sytuacja w naszym związku. Zamiast wystąpić na mistrzostwa, stawiono mnie na bok.”

Uważa, że kiedy osiągnął najwyższą formę, zabrakło okazji do udowodnienia swojej wartości. Później znów prezentował kraj w mistrzostwach świata i Europy, tyle że jego czas jakby już skończył.

W przytulnym mieszkaniu na poznańskiej Starówce poustawiał na półkach puchary, zawiesił na haku medale. gród bez liku. Nie było chyba

strzostw Polski, z których nie wracałby bez minimum trzech medali. Z zadowoleniem, z cennymi nagrodami ciągnął do domu z zagranicznych potyczek. Nogalski zyskał opinię karateki, dodającego atrakcji zawodom. Skupiał na sobie duże zainteresowanie widzów i rywali. Potrafił pokazać jaki z niego chwał.

Zrodziła się jednak także opinia, że wygrywać potrafili tylko na turniejach. Brał udział w kilku mistrzostwach świata i chociaż do podium było niedaleko, nie zdobył tego najważniejszego medalu. Zawsze ktoś przeszkodził; silniejszy, sprytniejszy, lepszy, jak na przykład McKay.

„Każdy z nas, polskich karateków, miał przebyte wielkie umiejętności. Ale przychodziły też chwile złości, kiepskie występy. Czasem odnosiło się wrażenie, że ty musisz przegrać, tamten musi wygrać. Ogarniało nas zwątpienie, przekonanie o nieuchronności losu. To chyba pokutuje do dziś. Nie czujemy wsparcia, nie mamy swoich przedstawicieli w międzynarodowych władzach, sędziowie nas nie znają...”

Analizując przeszłość Waldek zwraca uwagę na ważny fakt. W 1984 roku w Poznańskim Klubie Karate zabrakło trenera. „Nie miałem wtedy bata nad

W domu rozkosznie bawi się trójka dzieci. Cała rodzina podporządkowuje się programowi dnia, który ustala tata. A tatę gryzie czasem sumienie, że na pierwszy plan postawił sprawy swojego karate, a dopiero na drugim miejscu rodzinę. Lecz mama go usprawiedliwia. Skrupuły są zbędne. Czy zima, czy mróz – pył, pył, brał wózek i jechał z dziećmi na salę „Trenuję jak dawniej. Myślę, że mój czas jeszcze powróci. Uważam, że każdy człowiek ma swojego dobrego duszka, oparcie, które nad nim czuwa, nim kieruje. Cokolwiek zrobię, okazuje się że wyszło na dobre, jakby ktoś mnie strzegł”.

Waldok w ciągu 11-letniej kariery karateki miał dużo szczęścia. Spotkał na przykład wielu trenerów. Ze szkoły każdego z nich brał chyba to, co najlepsze.

Polskie karate zasługuje już na sukcesy, lecz sądzi że dyscyplinie brak nieco świeżości. „Zbyt wolno transformujemy światowe nowinki. Trenerzy i instruktorzy powielają stare metody pracy. Zawodnicy otrzymują dobre przygotowanie techniczne, są silni, ale mało elastyczni. Brak nam sprężystości gumy. Idziemy jak czołgi, które wszystko przed sobą zmiatają. Gdy nagle pojawia się nieprzewidziana przeszkoda, natychmiast powodujemy kraksę”.



Mistrzostwa świata w Kairze. Po walkach karatecy pojechali pod piramidy. Na pierwszym planie na koniu Waldemar Nogalski.

sobą” – ocenia. „Nie było kogoś, kto niczym lustro, wskazywałby wady. Moje karate rozwijało się wolniej. Szedłem jeszcze w górę, ale już małymi kroczkami.”

Po latach zostało trochę żalu, że przegapił szansę. Nie zatałat się, lecz w nastroju frustracji zadawał sobie pytanie: „czy warto to robić dalej” Odpowiedź znalazł także sam: przecież nie uprawia karate tylko dla sportu. Przecież zdobywać medale, ale najważniejsze, że ćwiczy dla siebie. Przyswajał technikę, hartował siłę woli, wzmacniał psychikę – oto inny jeszcze wymiar tego co robił.

Pył, pył z wózkiem

Nie czuje się jeszcze człowiekiem wypalonym i starym. Żyje dawnym rytmem. Rano bierze sprzęt na plecy, worek pod pachę i wyrusza – kierunek sala AZS. W drugim, popołudniowym treningu znów coś tam „szlifuje”. „Zdobylem już takie doświadczenie, że wiem czego mi jeszcze brakuje. Sam sobie jestem trenerem.”

LECH UFEL



W drodze do Sztokholmu trenowano na pokładzie promu. Na zdjęciu od lewej: Marek Sajdak, Dariusz Górecki, Marek Plechotka, Leszek Gago, Robert Bartosiewicz, Marek Jahnz, Piotr Osuch.

Zdjęcie SŁAWOMIR MILCZAREK

Wreszcie wyjeżdżamy. Koniec czteromiesięcznych intensywnych przygotowań. Reprezentacja Polski w kung fu/wu shu udaje się po raz pierwszy na mistrzostwa Europy w wolnej walce. A są to już trzecie mistrzostwa. Naszą drużynę reprezentują: **Marek Jahnz, Robert Bartosiewicz, Leszek Gago, Jakub Cuszlag, Marek Sajdak, Marek Plechotka, Dariusz Górecki, Piotr Osuch** oraz Andrzej Braksal jako kierownik ekipy i Sławomir Milczarek – trener.

Płyniemy do Sztokholmu promem. Neptun jest taskawy, morze spokojne i wszystko byłoby dobrze, ale... I tylko to małe „ale”. Choroba Jakuba Cuszłaga i dopiero co zaleczona kontuzja Darka Góreckiego nie pozwalają nam spokojnie spać. Już na miejscu do grona chorych dołączył jeszcze Marek Sajdak. Szpital, nie reprezentacja!

Ważny jest pierwszy występ naszego zawodnika. Wiem, że od dobrej premiery dużo zależy. Losujemy szczęśliwie. Trzech naszych zawodników ma wolne losy w pierwszej rundzie. Występ na macie w Sztokholmie zainauguruje Jakub Cuszlag.

Niestety choroba jest silniejsza i Kuba schodzi z maty pokonany. Kiepski początek. Słabym pocieszeniem jest fakt, że Kuba przegrał z późniejszym mistrzem Europy Hiszpanem Malizą. Następna walka. Marek Plechotka spotyka się z Włochem chińskiego pochodzenia o nazwisku Chiu. Obaj walczyli już raz na turnieju w Shenzhen w Chinach. Jak będzie teraz? Odpowiedź znamy już po czterech minutach. I tym razem lepszy okazał się Włoch. W wadze 60 kg reprezentuje nas Marek Jahnz, który w pierwszej rundzie miał wolny los. Jego przeciwnikiem był reprezentant gospodarzy – Nyberg. Pierwsze starcie było wyrównane. W drugiej rundzie chwila nieuwagi Marka i mocny cios Nyberga łąduje na szczękę Polaka. Koniec marzeń o sukcesie. Cios był na tyle mocny, że Marek nie wyjdzie do walki o brązowy medal. Koniec pierwszego dnia mistrzostw Europy zastaje nas w kiepskich nastrojach. Spodziewaliśmy się jednak lepszego obrotu sprawy. Najlepsze wrażenie pozostawili po sobie Francuzi. Publiczności i nam podobał się szczególnie Anicet w wadze do 100 kg, który przeszedł przez matę dosłownie jak burza.

PIERWSZY RAZ

Prezentujemy style

Ving Tsun

System kung fu znany pod nazwą Ving Tsun (inne pisownie w piśmiennictwie świata zachodniego – Wing Chun lub Wing Tsun), należy do najpopularniejszych odmian chińskiej sztuki walki na świecie. Tłumaczenie na j. polski, ideogramów chińskich składających się na jego nazwę, oznaczają „Pięść Pięknej Wiosny”. „Piękna Wiosna” była imieniem legendarnej dziewczyny, której przypisuje się stworzenie podstaw tego systemu na początku osiemnastego wieku. Przez pięć kolejnych generacji nauczycieli, system był rozwijany w klanach rodzinnych i nie propagowano go na zewnątrz. Sytuacja zmieniła się dopiero w wieku dwudziestym. Głównymi miejscami, gdzie żyją i nauczają obecnie mistrzowie tego systemu to Foshan, Guangzhou i Hong Kong, miejscowości znajdujące się na terenie chińskiej wincji Guangdong.

Analizując początki tego systemu na podstawie dostępnych danych, nie można znaleźć jednoznacznej odpowiedzi. Do dziś znane są co najmniej trzy style tego systemu, których historia sięga i dwięście lat wstecz. Nie krążyły one z sobą, posiadają jednak wiele wspólnych cech. I tak znany Sun Wing Chun pochodzący od mistrza Sun Wu Paka, Pao Fa Lein i Chun pochodzący od mistrza Liu Ta Shenga oraz styl Wing Tsun pochodzący od mistrza Yip Mana. Różnią się one ilością form ręcznych oraz wykonywanych z bronią, jednak formy kluczowe są dla nich wspólne. Styl Sun składa się z form ręcznych i dwóch form z bronią, Pao Fa Lein czternaście form ręcznych i siedem form z bronią, Ving Tsun ma cztery formy ręczne i trzy formy z bronią.

Największe uznanie i popularność zyskał w świecie styl Ving Tsun stworzony przez mistrza Yip Mana. Historyczne początki tego stylu związane są z osobą lekarza i aptekarza Leung Jana działającego w Foshan około roku 1800. Ze względu na swoje umiejętności w kung fu stał się sławnym strażnikiem w południowych prowincjach Chin. Jako pierwszy przyjął też uczniów, by uczyć ich stylu Ving Tsun. Do najważniejszych należeli synowie Leung Bik i Leung Cheun oraz Chan Wah Shun. Po jego śmierci kolejnym wielkim mistrzem został Chan Wah Shun.

Yip Man urodził się w 1894 roku w jednym z najbogatszych klanów rodziny w Foshan. W wieku kilkunastu lat został uczniem Chan Wah Shuna, po jego śmierci Leung Bika. Pochodząc z bogatej rodziny cały czas poświęcał się na doskonaleniu swoich umiejętności technicznych. Nie przewidywał czerpania tego stylu. Zmiany, które zaszły w Chinach po 1949 roku zmusiły do emigracji do Macao, a potem Hong Kongu. W dość przypadkowych okolicznościach doszło do prezentacji jego umiejętności. Zyskały one wielkie podziw środowiska sztuk walki. Pozostając bez środków do życia Yip Man zgodził się w 1952 roku przyjąć pierwszych uczniów. W okresie prowadzenia szkoły nauczał ogółem kilkunastu uczniów. Wśród nich krótko także młody Bruce Lee. Yip Man wycofał się z nauczania w roku 1965. Jego ostatnim wysiłkiem było założenie organizacji Ving Tsun Athletic Association, gdzie ustalili jednocześnie zachodnią pisownię nazwy: Yip Man zmarł na raka gardła 2 grudnia 1972 roku. Do najbliższych jego uczniów należeli: Leung Sheung, Lok Yu, Tsui Sheung Tin, Chiu Wing Shun Leung, który obecnie jest liderem klanu Ving Tsun. W okresie 1955 do 1965 roku nie mieli oni równych sobie przeciwników w świecie sztuk walki.

Obecnie na świecie działają tysiące szkół tego stylu. Różnią się one między sobą w zależności od indywidualności uczniów Yip Mana lub kolejnych generacji uczniów Ving Tsun.

Do Polski styl ten dotarł na przełomie 1977/78. Jego prekursorami autor artykułu i M. Stefanik. Obecnie nauczany jest w wielu miastach. Najsilniejszymi ośrodkami są obecnie Warszawa i Poznań. Ving Tsun nauczany jest u nas w oparciu o zasady i metody treningowe takich nauczycieli jak Wong Shun Leung, Moy Yat, Chiu Wun, William Che Ung, a także Leung Ting. Obok autora artykułu wyrosło kolejne grono instruktorów, których warto wymienić panów: Piotra Szawernowskiego, Leszka Starę i Artura Rychtę.

Styl Ving Tsun jest stylem tradycyjnym pochodzącym z południa. Składa się na niego trzy formy wykonywane bez partnera tj. Siu Lim Tseu, Chum Kiu i Bil Jee; jedna forma wykonywana na drewnianym manekinie zawierająca od 108 do 160 ruchów w zależności od szkoły, oraz dwie formy z tradycyjną bronią tj. parą młotczy Bart Cham Dao i tyczką Look Dim Kwun.

Jego cechami charakterystycznymi jest wysoka pozycja ciała w czasie walki, frontalne ustawienie do przeciwnika, naturalne, niskie techniki obrony i ataku oraz połączone techniki równoczesnego ataku i obrony. Ze względu na swoją konstrukcję, jest to styl wybitnie agresywny, gdzie walczący najpełniej wykorzystuje się w zwarcu. Nie jest to odpowiedni styl do walki sportowej, natomiast znakomicie sprawdza się w samoobronie. Szczególnie charakterystyczne dla Ving Tsun są tzw. ćwiczenia chi sao i chi kuk co oznaczają „złączone ręce” i „złączone nogi”. Rozwijana jest przez nie umiejętność wyczuwania kierunku działania energii przeciwnika i odpowiedniego reagowania oraz operowanie Jeet Chun tj. sprężystą siłą skierowaną na zewnątrz.

JANUSZ SZYMANKIEWICZ

zdjęcie SŁAWOMIR MILCZAREK

Walczy wicemistrz Europy Marek Sajdak, na zdjęciu po lewej.

Drugi dzień. Pierwszy idzie do walki Robert Bartosiewicz, którego przeciwnikiem jest Norweg Egner. Walczą w szybkim tempie. Obaj zawodnicy postawili na atak. Robert bardziej znany jako „Pepe” jest dokładniejszy od swojego przeciwnika, z każdego zwarcia wychodzi jeśli nie z serią uderzeń, to z rzutem lub podcięciem. Nareszcie pierwszy zwycięstwo! Ogromnie się cieszymy i mamy nadzieję, że teraz już nam się powiedzie. Była to jedna z najlepszych walk mistrzostw. Niestety, w swojej drugiej walce „Pepe” już przegrał po bardzo wyrównanym boju z czarnoskórym Szwedem Simbą. Ale wcześniej ogromnie przeżyliśmy występ Marka Sajdaka w wadze 75 kg. Jego przeciwnikiem był Belg Sutte. Balem się o ostateczny rezultat tej potyczki, ponieważ Marek narzekał na przebiegnięcie. Patrzę i widzę, że jest jednak dobrze. Belg już dwukrotnie liczony. Ze zdenerwowania nie może usiedzieć spokojnie i nie może zrozumieć dlaczego sekundant belgijski nie poddaje swojego zawodnika, który wyraźnie przegrywa. Mamy już jeden srebrny medal i szansę na złoty!

Niedługo kolejny powód do radości. Darek Górecki w wadze 85 kg pokonuje Włocha Forillo. Była to niestety brzydka walka. Liczy się jednak wynik końcowy i to, że mamy drugi srebrny medal. Na nieść szczęście podczas walki odnowiła się Darkowi kontuzja nogi, nie będzie już w stanie wyjść do walki finałowej. Dalej znów przegrywamy: „Pepe” o brązowy medal z Francuzem Ameure, a Sajdak z Sanceroy.

Występ Polaków oceniam jako dobry, chociaż odczuwam trochę

niedosyt. Żeby nie kontuzje i choroby wróciłobyśmy chyba ze złotem. A tak dwa srebrne medale dają nam piąte miejsce w Europie. Niezwykle cennie dla nas byli Francuzi: trzy złote medale mówią same za siebie. My, oprócz medali wywozimy wiele doświadczeń oraz – co jest bardzo istotne przy dalszym szkoleniu – kasety z nagranymi, wszystkimi walkami.

Podczas mistrzostw Europy był także czas na spotkania przedstawicieli poszczególnych krajów z władzami Europejskiej Federacji Wu Shu. Na specjalne spotkanie poproszono delegatów z Polski. Polską Federację Dalekowschodnich Sztuk Walki reprezentował Andrzej Braksal, a Polski Związek Karate Grzegorz Ciembroniewicz. Ustalono, że ruchy kung fu skupione w tych dwóch organizacjach będą współpracowały dla dobra rozwoju chińskich sztuk walki w naszym kraju.

Następne duże zawody międzynarodowe – prawdopodobnie pierwsze mistrzostwa świata – odbędą się w przyszłym roku. O ich organizację ubiega się kilka federacji kontynentalnych (oprócz europejskiej istnieją federacje Azji i Ameryki Południowej) warunkiem przeprowadzenia tych mistrzostw będzie powołanie Światowej Federacji Wu Shu, której komitet przygotowawczy pracuje od pamiętnego turnieju w Wu Shu w starożytnej stolicy Chin Xi'an w 1985 roku. Wyjazd naszej reprezentacji na mistrzostwa świata wiązać się będzie z dużymi kosztami. I już dziś martwimy się i poszukujemy sponsorów, bo sukcesów jesteśmy pewni.

SŁAWOMIR MILCZAREK

UCZULENIE

Pan Jerzy Kubyszek zajrzał kiedyś do worków w sklepie i od razu wiedział o co chodzi. Z zapakowanych kimon dolatywał charakterystyczny zapach. Człowiek, który zdobył dyplom inżyniera na Wydziale Włókienniczym Politechniki Łódzkiej, który odbył wieloletnią praktykę w bielskich zakładach włókienniczych, taką tajemnicę odkrywa w łot. Przeznaczono do sprzedaży kimona uszyte z tkanin technicznych, z tak zwaną natłustką, niewykończonych w procesie technologicznym. Ubiory tego typu mogą spisywać się rewelacyjnie na plecach użytkowników, ale mogą być również niebezpiecznym źródłem uczuleń. Kupujący na ogół o tym niestety nie wiedzą...

Pan Kubyszek, mieszkaniec Bielska-Białej, od niedawna objął kierownictwo przedsiębiorstwa „Remat”. Jego spółka tłoczy blachy samochodowe, szyje przystawki-namioty do przyczep kempingowych, produkuje sprzęt sportowo-turystyczny, w tym także judogi i karategi.

Pan Kubyszek gwarantuje, że jego firma wypuszcza w świat wyroby dobrej jakości. Nie szyją ubiorów z lipnej tkaniny. Na przykład materiał na judogi produkuje jeden zakład, w innym zakładzie poddają go specjalnemu procesowi wykończenia. Judoga nie może być zwykłą szmatą na łatach i szel „Rematu” z satysfakcją mówi, że opracowali taką technologię, aby sportowcy ich chwalili. „Ta tkanina to sto procent bawełny – wyjaśnia – i w sposobie wykończenia tkwi cała tajemnica. Musi być ona odpowiednio wykurczona, należy poddać ją specyficznej obróbce chemicznej. Mnie jako włókiennikowi łatwiej w tej branży się poruszać, wykorzystuję dawno znajomości, zachęcam do współpracy specjalistów, a także zakłady państwowe”.

Podczas mistrzostw Polski w karate WUKO w Opolu, firma z Bielska otworzyła stoisko, gdzie oferowała karategi. Przy-

mierzają się także do produkcji obuwia, typu kung fu, w planach również wyrób pasów. A zaczęło się od prośby skoczków narciarskich o sprawienie im... kombinizonów. Obecnie firma największą nadzieję pokłada w produkcji sportowych materacy czyli tatami. Do zajęcia się sprawą materacy gorąco zachęcał okręgowy związek judo. Wiadomo – materacy sportowych na naszym rynku brakuje i często sprowadza się je za ciężkie dewizy.

Pan Kubyszek namówił przeło docenta Jana Wnuka, inżyniera Mariana Józwiaka i magistrę Korneliusza Kapolkę, żeby swój wolny czas poświęcili na rozwiązanie nowego problemu. Przez półtora roku 4-osobowy zespół mierzył, ważył, badał aż osiągnął zadowalające wyniki. Satysfakcja była tym większa, że zespół dopiął swego opracowując technologię, w której wykorzystuje się tylko krajowe surowce, a przede wszystkim odpady z innej produkcji. Do wytwarzania materacy według ich pomysłu nie potrzeba dewizowych wsadów, ani wujków z dolarową kieszą. Pierwszy użytkownik materacy, debicki klub Igloopol, po serii testów wydał opinię, że polski „prywatniak” wyrób nie ustępuje jakością produktom znanych firm z RFN i Węgier.

„Remat”, zgodnie z logiką, postanowił dobry pomysł naukowców wcielić w życie ku powszechnemu pożytkowi. W tym celu zdecydował się na nowe inwestycje, ale zapal osłodziła przygważdżająca refleksja: „a jeśli nie wart będzie Pac palaca? Czy nie powtórzy się przypadek z kimonami?”

Wyprodukowali oło kilka tysięcy sztuk karateg, lecz mimo złożonych ofert klubom, zainteresowanie na ich propozycję było małe. Towar cechował się dość niską ceną i wysoką jakością, a jednak nie potraktowano go jako przeboju. Sugerowano, że naszycie obcojęzycznych etykiet, upstrzenie karateg „bajerami” znacznie uatrakcyjniłoby towar. Lecz Kubyszek nie przyjął tych sugestii. Uznał, że nie „bajery”, nie podszywanie się pod zagraniczną produkcję będą ambicją jego firmy, lecz wysoka jakość jego wyrobów. Kimona na nasz rynek szyją przeważnie drobni rzemieślnicy. Często nie znają oni spo-

cyfiki użytkownika sportowego stroju. Zerują na ludzkiej nosisi, kooperują z „naganiaczami” z karateckiego środowiska. Interes się kręci...

Firma z Bielska miała pomysł wyspecjalizowania się w sportowej produkcji. Kreślono plany szerokiej współpracy z związkami sportowymi, ze sportowcami. Sądzone, że bliskie kontakty z użytkownikami, ich opinie, sugestie pomogą w uchwyceniu produkcji na szeroką skalę wyrobów tańszych równocześnie odpowiadających co najmniej podstawowym normom jakościowym. Korzyści z tej współpracy mogły być obustronne: komisjom sprzętowym, związkom, spad kamień z serca, stawiałyby żądania i warunki, pilnowały umów. Firma zyskałaby satysfakcję, że jej dążenia ambicjonalne nie idą na marne. Największą zaś korzyść odnieśli sportowcy.

Ale na polskim rynku sprzętowym, w zakresie sportu sztuk walk dalekowschodnich, panują nieco dziwne mecenizmy. Często przypominają one gangsterskie zwyczaje. Przenoszą korzyść „rekinom” i niewiele mają wspólnego z etykalnymi zasadami moralnymi, których nośnikiem mają być popularne sporty.

„W istniejących obecnie warunkach nie warto się specjlować w produkcji sportowej, dla określonego środowiska zauważa gorzko fachowiec z Bielska-Białej. „Uzyskanie satysfakcji o wysokich wymogach, to często technologiczna oga ciemiowa. Nasze przedsiębiorstwo nie boi się kłopotów technologicznych, współpracujemy z fachowcami. Ale produkcja sportowa to rzecz szczególna, nie widzę zapotrzebowania na długie serie, krótko mówiąc przedsięwzięcie rykowne. A życie jest takie, że nikt nie lubi się pchać do interu, w którym mogą być duże kłopoty, i małe korzyści. Powi otwarcie, że decydując się na przykład na szycie kurtek m połowę kłopotów z głowy, bo – potrzebny i chłonny rynek zb i mniej wymagań jakościowych. Ale zachciało mnie się spc i nie wiem po co...”

JANUSZ ZANT

Z PODRĘCZNEGO

MAGAZYNKA

W nowym kąciu zamierzamy prezentować urządzenia i przyrządy pomocne w ćwiczeniach. Chcemy zapoznać z technicznymi nowinkami, a także z prostymi pomysłami. Pragniemy pokazać jak wyposażone są dojo. Na początek sam

Chuck Norris popularyzuje urządzenie o nazwie „Flex Master”. W reklamowej zapowiedzi uzasadnia, że jest to ponoć najlepszy i najszybszy sposób na osiągnięcie maksymalnej giętkości ciała. Wierzymy na słowo...



SENSACJA ROKU

Jeszcze niedawno zdjęcie, które publikujemy można było sobie tylko wyobrazić. Nie jest również fotomontaż. Zrządzenie zarejestrowane fotografii jest autentycznym pokazem karate na Placu Czerwym w Moskwie. Oficjalnie uprawianie karate było w ZSRR zabronione. Jako pierwsi ludzie w karategach centralny plac w Kraju Rządowym zdobyli Polacy.

Od lewej: Włodzimierz Kwieciński, Cezary Majas, Andrzej Maciejewski, Jarosław Mejer i Andrzej Zarzycki. Wszyscy wrócili.

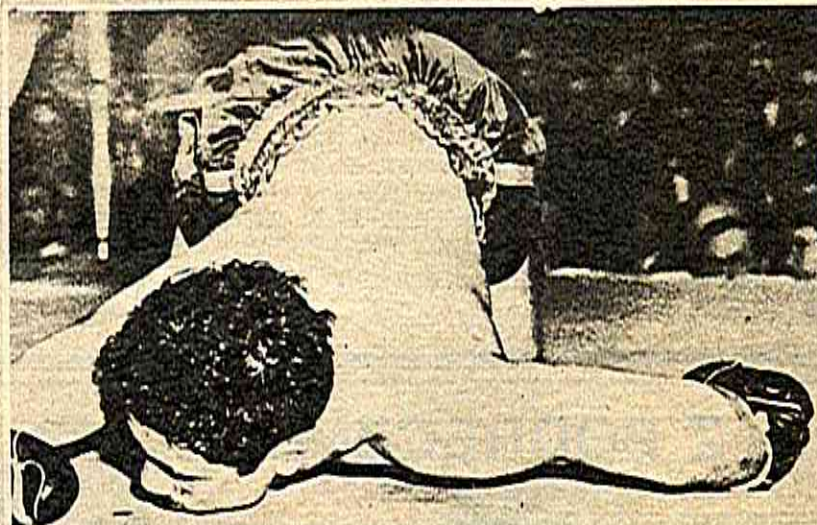
Zdjęcie ARCHIWUM



DUŻY I MAŁY



Wielki Smok i Mały Smok. Ricky Joyous słynny atleta i miłośnik dalekowschodnich systemów walki zapowiada, że od najmłodszych lat będzie zapoznawał swego syna z azjatyckimi sztukami walki. Na zdjęciu pierwsza próba.



Czy to jest sztuka?



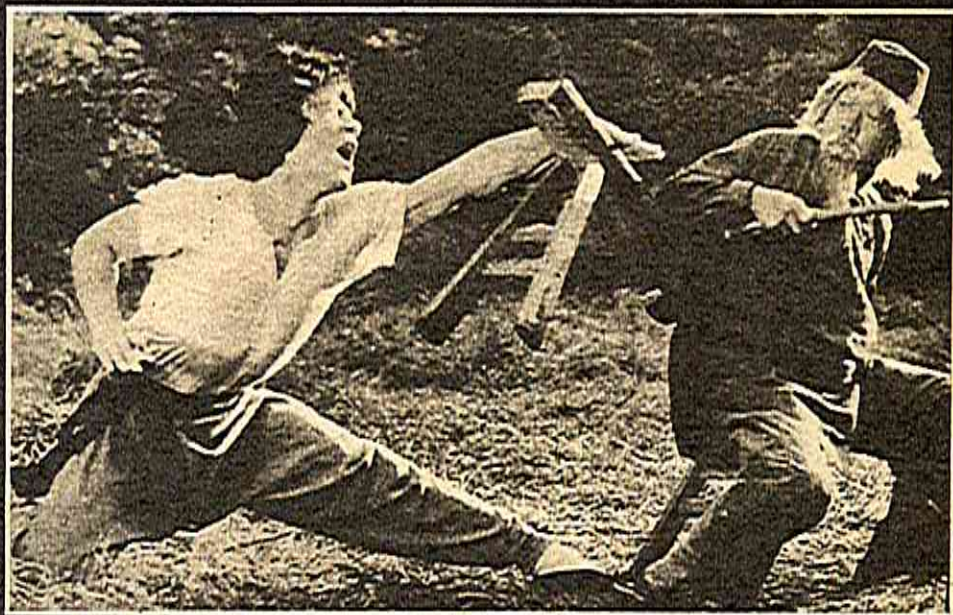
Inni też walczą.

W NASZYM ANTYKWARIACIE



O Bruce Lee opublikowano wiele książek. Prezentujemy jedną z najnowszych, pamiętnik, w którym zawarta jest historia życia Bruce'a, a także jego trening. Znakomicie wykonany, jest prawdziwym rarytasem nawet na zachodnim rynku. Czy dotrze do naszych czytelników?

JACKIE CHAN



Scena z filmu „Piłany mistrz”

Dokończenie ze str. 24

na jako największego azjatyckiego kaskadera, który wyrósł na aktora i został faktycznie najbardziej kasową atrakcją Ameryki.

Jako aktor Chan rozpoczynał od drugoplanowych ról komediowych w operze chińskiej. Jego własne filmy w których komasuje akcje dramatyczne są obficie wypełnione niefrasobliwą komediową zabawą. Filmy Chana różnią się zasadniczo od filmów w których występował Bruce Lee. Według Chana: „Nikt nie chce obecnie oglądać filmów z gatunku kung-fu z ich nienaturalną akrobatyką i podobnymi scenami walki. Publiczność kinowa oczekuje realizmu i współczesnej fabuły. Obecnie robię tylko filmy z dużą ilością filmowych scen walki, szybkich pogoni i przejmujących akcji”.

Chan wykorzystuje techniki kung-fu używane we wcześniejszych filmach. Jedyną różnicą jest w tym, że sceny walki uwspółcześnione takimi eksponatami jak samochody, motocykle, szkło tafelowe itp.

Nowe układy choreograficzne są na tyle realne na ile pozwalają możliwości preterentów. Innymi słowy, na ekranie widzimy dokładnie to co rzeczywiście udało się osiągnąć aktorom. Układy choreograficzne i popisy kaskaderskie są rzeczywiste – bardzo mało lub wcale nie zniekształcone przez stosowane w filmie efekty specjalne lub specyfikę widzenia kamery. Realizowanie tych scen jest więc bardzo niebezpieczne dla niego samego i dla innych odtwórców.

Aby zapewnić wysoką jakość prezentacji scen walki zatrudnia Chan własną grupę zawodowych kaskaderów, którzy cały swój czas i energię poświęcają dla jego osobliwego kina. Około 20 ludzi – najstarszy ma 34 lata – dosłownie

poświęciło swoje codzienne życie prywatne reżimowi kina Chana.

Wszyscy ci aktorzy swoje plany życiowe związali ze sztukami walki, które dają im realne korzyści finansowe. Wszyscy są trenowani osobiście przez Chana, który nadzoruje każdy popis i scenę w jego filmie. Pracują oni razem z Chanem każdego dnia w ryzykownych i niebezpiecznych warunkach i stają się jakby członkami jego rodziny.

Wielkość nowych filmów kryminalnych dostarczanych do kin amerykańskich pokazuje doskonałość członków „Klubu Kaskaderów Jackie Chana”. Chan nazywa je filmami awanturczymi i awantury w nich są. Na przykład w scenie pościgu, w której cztery samochody prowadzone przez kaskaderów, spadają ze zbocza góry poprzez osiedle slamsów wywołując pożary, w końcu eksplodują budząc mieszkańców miasteczka.

Filmy Chana pokazują prawdziwe sceny w przeciwieństwie do innych filmów, w których decyduje punkt widzenia kamery tworząc inną dynamikę widzenia rzeczywistości. Tu, aktorzy faktycznie uderzają innych aktorów na zasadzie full-contact, prawdziwie, nie markując uderzeń. „Moi kaskaderzy nie martwią się jeżeli uderzając mocno znokautują mnie, ponieważ ja tego chcę” – mówi Chan. „Widownia kinowa chce wiedzieć, że ogląda prawdziwą walkę”.

Chan realizuje filmy dokładnie tak jak są zapisane w scenariuszu. W jednym z nich kaskader po ciósie wypada przez poręcz i spada na wazę z chińskiej porcelany, wielkości około 1,5 metra roztrzaskując ją z jednej strony. Świadkowie tej sceny widzieli, że waza została rozbita jedynie od strony wykonanej z plastiku, a wewnątrz

znajdowała się gruba warstwa wyciółki. Podczas wykonywania akrobacji kaskaderskich, gdy iluzowano film w Jugostawii, Chan był naprawdę kontuzjowany pokazach w Japonii, po 21 godzinach lotu, przyleciał akurat na moment zaplanowanej wczesnej sceny, w której musiał wykonać 12-metrowy skok ze ściany szczytowego zamku na trawę. Trudy w powró w Japonii oraz długa podróż sprawiły, że Chan skoczył tak szczęśliwie, że zamiast na trawę trafił na kupę kamieni. Następnie pokłucie czołki i uszkodzenie kości. Lekarz musiał czekać 8 godzin, aż do zejścia opuchlizny wewnątrz czaszki. W tym czasie Chan był przytomny i świadom sytuacji. „Wszystko słyszałem, czułem jak krew wypływa z czoła” – powiedział później.

Po tym ciężkim doświadczeniu Chan tylko kilka dni przebywał w szpitalu jugosłowiańskim, połączając lekarzy, którzy nazywali supermenem.

„Trudno jest zabezpieczyć moich ludzi przed urazami” – mówi. „Ale oni tak długo byli moją grupą, wykonując pod wielką trudnością i owe kaskaderskie one same chronią ich przed niebezpiecznymi urazami”. Chan ma teraz 32 lata. Byłoby wielką stratą gdyby tak charyzmatyczny i lentowany gwiazdor, który jeszcze nie osiągnął szczytów swojej możliwości, miał jakis poważny wypadek.

Czy Jackie Chan jest lepszy od Bruce'a Lee? Nie miał możliwości spotkać się z nim w walce. Jedną z jego wielkich wyczynów i zdolności aktorskich oraz odwagą i hartem kaskaderskim to te cechy w których dorównuje Bruce'owi Lee, a może go nie przewyższa.

Opracował
ANDRZEJ KLIM



Akademia policyjna
anno 1910.
Zdjęcie ARCHIWUM

NOWA NINJA?

Polacy należą do zdolnych narodów i też wymyślają sztuki. „Krajobrazy” podają o niecodziennym wyczynie, którego dokonano w jednej ze szkół podstawowych. Rolę „bohatera” odegrał instruktor kung fu. Pozbierał on mianowicie od dzieci po 9,5 tysiąca złotych na kimona i tyle go widzieli. Nowe wcielenie ninji?



Jacke, po lewej, walczy efektywniej niż Bruce Lee?

Jackie, najbardziej kasowy gwiazdor azjatyckiego kina, jest człowiekiem o wielu różnorodnych talentach. Nie tylko występuje w wielu filmach, ale jest także producentem, scenografem, wydawcą i wyrocznią w realizacji scen walki oraz w jego własnych popisach scenicznych.

Są wątpliwości czy Chan jest większą gwiazdą w Azji od Bruce Lee w jego okresie największej popularności. Od czasu jak są porównywani, niewiele znaleziono podobieństw tych dwóch gwiazdorów. Podobnie byli nazywani: Bruce Lee miał filmowy pseudonim Siu Lung czyli Mały Smok, natomiast Chan nazywany jest Sing

JACKIE CHAN

Lung co znaczy Wcielony Smok. Jednakże na tym ich podobieństwo się kończy.

Lee wyrastał, doskonaląc swój talent i umiejętności, na ulicach Hong Kongu. Pozostawał długo w pewnej odmianie kung-fu zwanej wing tsun, aż do czasu gdy sukcesy filmowe dały mu sposobność zetknięcia się z innymi stylami umożliwiając doskonalenie swojej sztuki. Bruce zasłynął z opanowania i doskonalenia tych stylów walki, które prezentował w swoich filmach.

Chan przeciwnie, najpierw był wykorzystywany w poważnych przedstawieniach zastępując zawodowego aktora w tradycyjnych operach chińskich. Tam uczył się bić i uderzać nogami a także akrobatyki i gimnastyki. Nauczył się także różnych form aktorskich od poważnych do komedowych. Wspinając się po szczeblach kariery filmowej od kaskadera poprzez aktora, został Chan największym idolem kina azjatyckiego.

Od początku realizacji filmowych gatunków kung-fu powstała konieczność określenia możliwości prezentacji walki na ekranie. Chciał jednak być realistą. Z doświadczeń z pracy w operach chińskich wyniósł znajomość podstaw pewnej północno-chińskiej odmiany kung-fu, zwanej changchuan czyli „długa pięść”. To był styl preferowany przez wykonawców operowych ze względu na bardzo teatralne długie kopnięcia. W dalszych realizacjach filmowych stały się bardzo przydatne techniki obrotowe. Założył więc szkołę południowo-chińskiej odmiany kung-fu utworzonej z elementów hung gar, choy li fut, wing tsun i „biały żuraw”. Stale potrzebując coraz większego arsenału techniki walki zwrócił się Chun ku potężne karate i technik uderzeniowych. Kilka lat spędził z jednym z mistrzów hapkido i taekwondo ucząc się wysokich kopnięć i koreańskich sztuk walki.

Chan nie tylko daje niezwykle pokazy w scenach walki, ale także robi choreografię walk do swoich filmów.

„Komponuję moje sceny walki – mówi Chan – z odpowiednią dla nich rytmiką ale z naturalną ich płynnością, nasilając z czasem dynamikę i gwałtowność. Gdy walka na ekranie zanika widownia jest tak podekscytowana jak aktorzy. W układzie choreograficznym aktor ma dokładnie określoną wymiarę ciosów, z nielicznymi tylko chwilami zatrzymań akcji”. Układy nieprzeciętnych ćwiczeń akrobacyjnych i jednocześnie możliwości wykonania ich zgodnie z założeniami pozwalają określić Cha-

Dokończenie na str. 23

budo

Wydanie specjalne magazynu ilustrowanego SPORTOWIEC, 00-561 Warszawa, ul. Mokotowska 24, skr. poczt. 255, tel. 21-62-08.

Redaktor naczelny: JACEK ZEMANTOWSKI. Redaktor wydania: LECH UFEL. Sekretarz redakcji: JERZY CHROMIK. Opracowanie graficzne: STANISŁAW SIWEK. Redakcja techniczna: MALGORZATA GROCHOWSKA, KRYSZYNA NOWAKOWSKA. Korekta: BIANKA ABRATOWSKA, EMILIA KURZELA.

Rada merytoryczna: Janusz Pawluk, Waldemar Sikorski, Paweł Rafański. Druk: Zakłady Włókiendrukowe, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Dyrektor: Andrzej Maciejowski. Wydawca: Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Dyrektor Zygmunt Konopka. Zam. 9039, Nakład 100 000 egz. a-14.